

**JULJUSZ  
KADEN-BANDROWSKI**



**PRZYMIERZE  
SERC**

*Ks. Emilian Asendi*

*Radom 1842*  
*1843*

PRZYMIERZE SERC

*Kochanemu Przyjacielowi  
Jerzemu Ferek-Bleszyńskiemu*

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

## JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO

*Nieszula*, powieść, Lwów 1911, (wyczerpane)  
*Zawody*, nowele, wyd. II, Warszawa 1922  
*Proch*, powieść, wyd. II, Warszawa 1921  
*Zbytki*, nowele, Kraków 1914, (wyczerpane)  
*Piłsudczycy*, wyd. III, Warszawa 1921  
*Iskry*, Wiedeń 1915  
*Bitwa pod Konarami*, Wiedeń 1915  
*Mogiły*, wyd. II, Lublin 1916, (wyczerpane)  
*Spotkanie*, nowele, Warszawa 1917, (wyczerpane)  
*Luk*, powieść, wyd. II, Warszawa 1929  
*Wyprawa Wileńska*, Warszawa 1919, (wyczerpane)  
*Podpułkownik Lis-Kula*, wyd. II, Warszawa 1919  
*Wianki*, Warszawa 1920  
*Wiosna 1920 roku*, Warszawa 1921, (wyczerpane)  
*Rubikon*, nowele, Warszawa 1921  
*General Barcz*, powieść, wyd. II, Warszawa-Lwów 1930  
*Wakacje moich dzieci*, nowele, Warszawa 1924, (wyczerpane)  
*Miasto mojej matki*, wyd. III, Lwów-Warszawa 1928  
*W cieniu zapomnianej olszyny*, (Z cyklu: „Miasto mojej matki”) wyd. II, Lwów-Warszawa 1928  
*Europa zbiera siano*, Lwów-Warszawa 1927  
*Nad brzegiem wielkiej rzeki*, Lwów-Warszawa 1928  
*Rzymianie wschodu*, Warszawa 1928  
*Na progu*, Warszawa 1928  
*Lenora*, powieść (z cyklu: „Czarne Skrzydła”) wyd. II, Warszawa-Lwów 1929  
*Tadeusz*, powieść (z cyklu „Czarne Skrzydła”) Warszawa-Lwów 1929  
*Stefan Żeromski. Prorok Niepodległości*, Warszawa-Lwów 1930.

# PRZYMIERZE SERC

WYDANIE DRUGIE



Z A M O Ś Ć  
WYDAWNICTWO ZYGMUNTA POMARAŃSKIEGO

ODBITO 4100 EGZEM-  
PLARZY NUMERO-  
WANYCH NA PA-  
PIERZE BEZ-  
DRZEWNYM

N<sup>o</sup> 506 \*

BIBLIOTEKA  
PAFRAFIA PW. NSJ  
RADOM-GLINICE

8

MCMXXX  
CZCIONKAMI Drukarni Narodowej w Krakowie

## TU JESTEM TERAZ — I CZEKAM

(Zamiast wstępu)

Czy jest ważniejszą sprawą, że pada śnieg, burze chodzą po niebie, płyną deszcze, słońce trwa w letnich pogodach, — czy też ważniejsze jest, że świat się rządzi, kraj buduje, a sztywne jego drogi wnikają w przyszłość coraz dalszą?

Czy też jedno nie jest ważniejsze od drugiego, — a cenne tylko jest w całym ogromie zdarzeń, że serca nasze biją? Że oto już ogarnął się dzień i wstaje, już idzie stopą godzin, — potem go złoży czas na długich pościelach nocy, — a my w igraszkach tej przemiany toczymy się z nieznanego początku ku niespodzianemu końcowi?

Czy może ważniejszą jest sprawą, że zegar wieży mego miasta, za lat dziecinnych okragły i wyraźny, na którego liczbach zardzewiałych ptaki siadające widziałem najdokładniej, — teraz oto rozplynął się już dawno w mętne spojrzeniu moich średnich lat?

Czy też nie to jest ważne — a pamiętać należy, gdzie się było, gdy Los nami zawijał na zakręcie, kto wypadł z wartkich wozów przemijania, kto przygniótł kogo, a kto się czepia poręczy i kogo bić wypadnie po łapczywych palcach, by ścierpły, puściły i nam pierwsze miejsce, nam czas i drogę dały?...

p 1/2014

Tak zawsze ze wszystkich stron ważność może ku nam podejść wątpliwa, i tak ze wszystkich miejsc odpowiedzieć jej może uśmiechem pobłażania znikomość luba.

Każdemu człowiekowi, który siedł, działał, nad miarę swoją sięgał, ponad siły zamierzał, zabiegnie kiedyś drogę ta chwila, lśniąca urokiem wieczności. Wtedy zaś, jak skręt piasku wzdętego na drodze, opadnie nagle wszystko. Ustatkują się sprawy, każdy sprzeciw ucichnie, porównają się smutki z radością, nawet za tobą stanie, co dotąd szło naprzekór? Tak się to zładzi ściśle i szczególnie, że oto poczujesz się na znikomym zjawisk przegonie w zupełnej samotności, zasłuchany w to, co już przeszło, uplątany we wszystką nieświadomość miejsca a całą niepoznawalnością czasu obarczony.

Tu jestem teraz i czekam...

Patrzę, jak coraz dalej są i jeszcze dalej precz odemnie lecą wszystkie moje radości.

Jak moje dzieci złotemi swemi głowami rosną coraz wyżej w swoją stronę ukochaną, a nigdy już dla mnie niedościgłą.

Więc niech rosną...

Patrzę, jak coraz cięższa jest miłość moja ziemską, — i już nie dźwigam jej wcale, ani niosę, sama bowiem okwita wszystkimi liśćmi i kwiatami, kształtem swoim i ciepłem.

Więc niech okwita...

Czekam, patrzę spokojnie, jak niby wielka rana, — obsycha już i dobrze wielką przez wszystkie męskie lata trwająca troska o dobro mej gromady.

Więc niechże i ta troska już schnie.

Tu jestem teraz i czekam: — Zaiste, nie jest to nawet brzeg mądrości!

Muszą przyjąć i jeszcze zapewne przybędą nowe pomysły zabiegów. Jeszcze gdzieś będę stał, w nocy czy za dnia, na schodach czy na placu, jeszcze zdawać mi się będzie, że sędzę, karzę, nagradzam, jakieś lby tępe świętym kiścieniem strącam; czyjeś skarby ratuję i natchnione dobro świata krwawymi rękami z zagłady znów wynoszę. I ciulam i pomnażam...

Jeszcze mi się chyba to wszystko zwidzi w większym zakresie, za którego miarę wypadnie w końcu płacić ostatnim głosem nadziei i ostatnią pociechą wiary.

Ale teraz tu oto właśnie stoję i czekam; a w tem spodziewaniu wytężonem, jakobym wołał niedbale, a one jakoby szły ku mnie naiwną ochotą wesela, — moje wspomnienia: Jedne, niby dobre wesole zwierzęta, rzucają mi się na piersi. Czuję ich chwyty łaskawe na ramionach. Czuję głupią, przepadłą głowę mojej przeszłości przy swojej sprawnej głowie, — i śmiejemy się razem, aż srebrna blizna nieba pęka na złotym horyzoncie.

Drugie, — lecz jest tyle, że nie masz ich w żadnej szczególności, a tylko jedna rzeka ogromna płynie przez serce bezbronne.

Rzeki, góry, ludzie najlepsi, chwile niedopatrzone, miejsca najdroższe, czasy zdławione, skarby nieużyte, — cenneści nieuczczona!

Tak ja, ty, on i my i każdy z nas i wszyscy, gdy czekać będziemy, pięknych obrotów naszej przeszłości znamy, — a przeto nie dziw się, że ci tu wybrałem te listki — a nie inne, i te strzępy minionego życia tchem

rozniecam — a nie inne, i tę wodę sklepcionemi nabo-  
żnie dłońmi z rzeki podnoszę — a nie tamtą. Nic bowiem  
nie wiemy, cośmy zdziałali, i nie możemy sądzić tych,  
z których wiecznego snu jawa nasza powstała, — i nie  
będą o nas wiedzieli, którzy na starych naszych prochach  
będą wiedli zabawę swych dążeń.

Nie jest to wszystko ważne, i nie cel jakiś świeci mi  
wielki, — lecz żebyś się obejrzał, gdy wołam za tobą,  
a ja, bym słyszał jak najdłużej tych, którzy znów mnie  
wzywali, idziemy bowiem coraz dalej, szybko, równo  
i prosto, — by się wreszcie nigdy już nie spotkać.

## NA FORCIE

*Z mego okna widać gruzy zniszczonego budynku, —  
mur leży na ziemi skruszony. Między rozepchniętymi  
ścianami, jak arkusze spalonego papieru walają się wy-  
gięte pożarem kawały blaszanych dachów. Tylko kominy  
sterczą wysoko.*

*Nagie i czarne.*

*Dalej za skrawkiem murawy grunt się obsuwa i wi-  
dać Narew. Płyń między szerokimi łachami piasku,  
wśród świeżych błoń zielonych.*

*Z obu brzegów szerokiej rzeki poprzez piachy i nie-  
użytki aż w głąb wody schodzą zasieki drutów kolcza-  
stych. Namotało się na nie sporo zielska, wodnych traw  
i chwastu, płynącego z falą.*

*Dziś po wielu dniach słońca ziele zwietrzało i wy-  
schło. Złoto-szare, czerwone chwieje się na drutach, niby  
w martwe ogniska skupiona rdza.*

*Rzekę spina nowy, drewniany most, budowany przez  
Niemców. We dnie i w nocy pilnują go szyldwachy. Po  
jednej i drugiej stronie, niby gwoździe, którymi przy-  
bito go do ziemi, — błyszczą pikelhauby piechurów.*

*Na lewo od mostu we wstęgach prądu zieleni się  
mała wyspa. Pono kiedyś w 1863-im roku bronili się  
na niej do upadłego powstańcy.*

*Pytałem wiele razy, — lecz nikt nie pamięta, z któ-  
rej strony przyszli, kto nimi dowodził, ani skąd byli.*

*Echa nijakie zostały po nich na miejscu, które krwią obłali i śmiercią uczcili.*

*Wyspy tej nikt dziś tutaj nie odwiedza. Sosny, które tam rosną kładą niebieski cień na murawę, a wokoło pustych brzegów pływają białe ptaszki, — nurki.*

*Ptaszki owe widać zdaleka, jak ziarna perliste, które woda to zgarnia w jedną gromadę, to rozwija w białe różańce.*

*Za mostem pomiędzy drzewami czerwienieją dachy dawnych koszarów rosyjskich, dalej wydmy piaszczyste wśród łąk i ściany lasu, zamykającego cały horyzont.*

*Ściany lasu!*

*To cień po nich chodzi, to słońce je żłobi i rzeźbi, to żar wybucha z nich różowy, to jeszcze biały wylega chłód.*

*Kryza wierzchołków ostrzy się na pogodę a tępieje na słotę.*

*Gdybym miał czas, tobym godziny całe siedział tu przy oknie i patrzyłbym na daleką ścianę tego lasu. Mieniłyby mi się w oczach urocze barwy a w słuchu wytężonym płynąłby szum ciąglej odmiany kształtów.*

*Już nie ja, — bo cóż ja, — ono samo, Istnienie, domyślałoby się za mnie, gdzie to właściwie jestem, skąd idę, — czego pragnę?*

*Jak się wszystko zaczęło i jak się skończy kiedyś.*

*Ale któż tu ma czas w chwilach pory wojennej tak okrutnie zawilej? Tyle tylko, że słyszę, wychylony ku bżom, jakby w otwarte okno stukano małą piąstką aksamitną...*

*To nikt! — To moje serce bije nad stołem w słońcu. Mieszkam w budynku oficerskim dawnego rosyj-*

*skiego fortu. Widok stąd płynie na te oto szkarpy, rzekę mostem spiętą, daleko poprzez niskie koszary na las wysoki i niebo rozłożystością ziemi uniesione wspaniale!*

*Ileż musiałem być zużyć intryg, wysiłków aby się przy tej stronie utrzymać, — z pretensją podobną przepchać się przez wszystkie pretensje wyższych szarż. Starsi odemnie dowódcy plutonów, kompanij, sam dowódca bataljonu zgodzili się nareszcie dla dwóch przyczyn: Po pierwsze, że izba moja jest bardzo mała, po drugie, że jako piszącego, uważają mnie za półwarjata.*

*Zresztą i tak rozmieścili się całkiem dobrze. Kapitan mieszka godnie, ma oddzielne locum, dwa wielkie pokoje, w których chodzi, gwizdże i nudzi się. Nie wypada mu żyć z nami za pan brat, musi dbać o pozory, choć jest prawie najmłodszy z nas.*

*Za parę tygodni ma go w tej głuszy odwiedzić żona. Nasz wódz już teraz kręci pokrywom przy pomocy ordynansów wieńce z młodych liści dębowych i przymiera te laury pustym ścianom swojej przestronnej kwatery.*

*Opodal kapitana gnieźdzą się porucznicy, obaj moi przyjaciele. Starszy, na którego wołamy Leń, — zna się na książkach, ciągle pije herbatę, dużo pali, jest wytworny, przystojny, uparty, — nic więcej nie umiem o nim powiedzieć. Znamy się od tak dawna.*

*Oraz drugi, również mój przyjaciel, także blondyn, lwowiak, całymi dniami uczy się regulaminów na pamięć. Wołamy na niego poprostu — Kujon.*

*Kujon i Leń.*

*Jeden tępy, pilny, pracowity, drugi zdolny, roztrzepany — leń.*

Leniowi wszystko samo do rąk się garnie.

Kujon zębami szarpać musi.

Jednemu głowa lekko chodzi, nawet gdy wiatr wieje jakby mu fryzurę poprawiał, drugiemu łeb zmierzwiony slania się ciężko na ramionach, a pokorne oczy niebieskie wciąż za coś przepraszają.

Tylna strona naszego domu wychodzi na pola. Widać stąd rozbite ruiny miasteczka i ziemne fortyfikacje, wykopane wśród sztywnej gwiazdy szerokich dróg artyleryjskich.

Urządzenie naszych mieszkań jest nader skromne. Stół, stolec, krzesło, wąskie łóżko, umywalnia. Na upiększenie izb składają się przedmioty wojennego użytku, szable, siodła, karabiny, lub małe graty, które ten i ów pokochał w czasie długiej wędrówki wojennej.

Więc tu zastaniesz na oknie drewnianego kogutka, tam grot dzidy szwedzkiej nad łóżkiem, ówdzie pudelko z muszli.

Wszędzie wiele fotografii poległych w boju kolegów.

— Wyobrażasz sobie, że czeka nas coś innego? — spytał mnie raz Leń pokazując ołtarzyk poległych, przybity nad łóżkiem Kujona. — Naprzód jest się żywym, potem na fotografii na ścianie, potem głowa tylko, wykrojona z pocztówki w medaliku. Potem wylecisz z medalika, ustępując fotografii dziecka, które ONA ma z innym, a sam leżeć będziesz w szufladzie przy złamanym grzebyku. Dlatego ja ani cudzych foto nie potrzebuję, ani swoich nikomu nie daję. Żebyś wiedział!

Przyznałem słuszność tym wywodom. Żołnierz nie

może mieć domu a przedmiot choćby najbłahszy, do którego przyłgnęliśmy sercem, — to już dom.

Domem żołnierza może być w najlepszym razie namiot.

Ukazałem rozwieszone w kącie grube, żaglowe płótno.

Oto nasz dom!

W istocie! Napiąwszy plachty na żerdzi, czy na karabinie ileż razy spokojnie człowiek sobie zasypiał! Z uśmiechem pobłażania słuchał ulewy letniej, czy gęstej strzelaniny. Pod temi szorstkimi klinami, siedząc w kucki czyż się nie plotło do późna o życiu, śmierci, radościach, tajemnicach?!

— Przez ów strzęp płótna, — rzekł Leń uroczyście, — patrzyły nam w oczy noce dalekich kresów i największa pośród gwiazd wszystkich gwiazda naszej nadziei.

Ale nie o tem przecie!

Siedzę w moim pokoju na forcie, obracam pióro w rękę i patrzę w świat wiosenny. Widać za rzeką zręczne postacie naszych żołnierzy. Przez świegot ptaków donosi się aż tu głos komendy.

Już trzeci rok dobiega, jak żyjemy w otoczeniu ruin, gruzów, zwiniętych na świstki dachów, drutów kolczastych, broni i zgliszcz.

Wieczór zapada.

Pusta wyspa przedzie pierwsze kosmyki mgły, na rzecę się ruszyło. Przez środek wody spływają rząd za rzędem całe szeregi czerwonych pni. Nasze strzeliste sosny, — nasze lasy przez Niemców pocięte.

Z wysokiego brzegu widać tak dobrze zwłoki drzew,

*rozpościerające się na szerokiej gładziźnie nurtu. Płyną, — sękami dzwonią o siebie, jedne znikają za modrem kolanem rzeki, — już woda nowe prowadzi. Cała Narew drży, — wszystka jej fala dźwięczy.*

*Stąd, ze stromego brzegu, nad wodą rozkrwawioną, w ramie okiennej pochylony piszę właśnie to wszystko, co składa się na ubogą zapewne wobec świata, lecz memu sercu bliską treść tych luźnych kartek.*

## PRZYJAZD

Z ostatniego postoju w Baranowiczach przyjechaliśmy do Polski późną jesienią, już prawie w zimie.

Austrjacy oddali nas Niemcom a Niemcy mieli podarować Narodowi.

Jechaliśmy z tak wielką radością! Każdy wiedział, że w Kraju jedni są za nami, drudzy przeciw, — lecz któżby nam potrafił odebrać zasługę przelanej krwi?

W wagonach nie ustawały śpiewy.

Komużeśmy śpiewali? Lasom, małym chałupom wynikłym na horyzoncie, rostrzelanym miasteczkom, pustej drodze, wystrzępionej ścieżce i gdzieś, między bruzdami mroku pozostałej wodzie zmarzniętej.

Żołnierze cisnęli się do okien, by patrzeć na kraj, do którego wracają, na który tak sprawiedliwie zasłużyli ciężką pracą wojenną.

Drugiego dnia o świcie zbliżaliśmy się już ku Warszawie.

Ranek był blady, mgła leżała szeroko nad Wisłą. Nad pustymi polami i wśród odosobnionych domków podmiejskich świstał wiatr.

Pociąg szedł bardzo powoli, coraz się nam zdawało, że już widzimy stolicę.

— Gdzie? Gdzie?

— Tam! Ach, tam!

I jeden drugiemu pokazywał domniemany kierunek.  
Wszyscy stali przy oknach, gdy pociąg zakręcał.

Wzdłuż całej jego długości widać było twarze powleczone szarą patyną, jakiej nabierają policzki w ciężkich mozolnych kolejach okopowej walki.

Owiewał je matowy blask zbutwiałego liścia. Przyhywało coraz więcej światła, — żołnierze wykrzykiwali radośnie.

Jęła się wychylać z mglistego bezmiaru linja dachów to prosta, to ścięta, to znów wielkimi guzami kamienia wiązana. Niskie skłopotane zarysy Starego Miasta, lekkie śmigle groty wieżyczek katedry, ciemna kurzawa królewskiego ogrodu.

Wszyscy umilkli, pociąg jechał cicho, — oczy pełne wzruszenia i szczęścia.

Słychać było w lśnieniu poranka tętent kół, tak żelazny i tak zda się, ciężki, jak twardą musiała być droga, którąśmy tu dążyli.

Na przedmieściu zmieniono nam lokomotywy.

W powiewie rannej mgły widać już było Wisłę.

Dziś ja tu stoję, — my, — potem lata przejdą i inni znów ockną się tutaj o świtaniu. Między mną, nami, — wami, ludzie przyszłych pokoleń, płynie ta sama woda wiatrem pomarszczona, — połyska ten sam piach.

Nasze chwile, niedrogie w tych wątkach przemijania, a każda w żywym sercu tak czuła i kosztowna!

Kto mógł wyskoczyć z wagonu, co prędzej wyładowaliśmy orkiestrę. Lecz jeszcze nie zaczęła grać, gdy z domków, z poza opłotków, z parkanów nasypu i przy-marzłych piachów wybiegać jęły małe, bose dzieci w starych ojcowskich kapotach.

Na tle szerokiej rzeki pod kamienną wielkością stolicy żebrzące z wyciągniętymi garstkami!

Orkiestra gra już „Jeszcze Polska“, dzieci wołają — „chleba! chleba!“ — skaczą, jak wróble chwytają nam z rąk ciężki żołnierski chleb, a gdy wszystko zabrały, wszystkie kruszyny sprzątły, — rozwieramy na oścież ramiona.

Siwe, kochane powietrze, wodo niewstrzymana — mury wysokie, twardy kamieniu, — piasku miłosierny, ziemio cierpliwa, — drodzy biedni ludzie, — Ojczyzno!

NIKT NIE CHCE MOJEJ ŚMIERCI...

Do starego miasta Pułtuska wchodziliśmy w gęstym śniegu, przez triumfalną bramę z sośniny, wśród okrzyków ludu, pod obłaskawione dźwięki naszej orkiestry, przeprowadzani twardem spojrzeniem władz niemieckich, które ustawiły się kamienną gromadą płaszców na uboczu.

Idziemy kompanja za kompanją, tak szczytnie, jakby to nasz krok pędził radosne wołania z piersi tłumów.

Tłumy biedne, szara kacabaja z kubrakiem wyjedzonym przemieszana, a co częściej chusta wytarta i tylko ręce, — owe ręce do czerwoności zmarznięte, ponad kusy bukiet kapelusza wyrzucone.

Ustaje wołanie, szereg już się zatrzymał. Pod bramą z pomiędzy zażywniejszych ojców miasta głos rzewny się rozlega. Potrząsa barankowemi czapkami, bieży przez płaty śniegu, w sercach naszych osiada.

Że tu, przed laty, stała już ongiś polska piechota a pośród tej piechoty, — pułk naszego imienia!

Więc my — i Oni...

Tedy oddani jesteście cieniom ojców nieznanym, podczas gdy drżące ręce delegacji chleb nam dają i sól.

Czy nie za duży ambaras?

Był to przecie nie laur, nie broń, ale chleb, rzecz codzienna, a od strony sensu tak święta. Więc stoimy

bezradnie przed onym bochenkiem, niby skiba na serwecie rozpartym, zawstydzeni, — gdy nam na głowy pamięć ojców położono a do rąk znamię jadła.

Dopiero pułkownik rozplątał całą okoliczność, bo nadał się proroczo i wypowiedział mowę, pełną dobroci oraz srogiego krzyku, od którego wszyscy się popłakali.

Gdyśmy przeszli nareszcie pod triumfalną bramą i w koszarach wszystkie rygory odbyli, — na miasto!

Krzywą, kusą uliczką mimo ubogich domów, przez plac, na którym stara wieża pamięta dawny czas. Na ulicach, jakby gwoździ rozsypało, taki zgrzyt kutych butów żołnierskich, które, gdzie mogą, spódnicom drogę w mroku zastępują.

My do cukierni!

Tu w kwaśnych gloriach karbidowej jasności jemy ciastka po dziesięć i szyk czynimy, żeby fryzowane panny z za lady widziały, jak świetne wychowanie wojsko z sobą przynosi.

Gdy się najemy, pójdziemy naprzeciw do restauracji, na inauguracyjną wieczerzę.

Ale czas jeszcze.

Siedzimy, patrząc na zgiełk mrocznej ulicy, wsłuchani w zgrzyty butów żołnierskich, przez które przebijają się i prześwieca i lśni jasność kobiecych głosów, tak dawno nie doznana. Wierzyć się człowiekowi nie chce, że jeszcze tydzień temu stał w rowach światowego frontu, a dzisiejszego wieczora płoszy przez czarne szyby brzmienie niewieścich słów, które drżą i szleszczą po nocy.

— Formalne imieniny, bracie — rzęzi nad talerzy-

kiem Kujon — dobro wali na ciebie ze wszystkich stron, w ciastkach stoisz po pas, a tu jeszcze kolacja na widoku!

Inauguracyjną wieczerzę jedliśmy sami, bez „ludności“, by nie zdawało się rekinom miejskim, że ktoś o ich łaskę, czy fundę zabiega.

Rzecz odbywała się w ostatnim pokoju wielkiej restauracji w czterech ubogich ścianach, za stołem w podkowę, z pułkownikiem w pośrodku i coraz młodszymi szarżami ku skrzydłom.

Pojedliśmy, popili, dowódca woła — śpiewać!

Nad podkową stołu, jakby się pierścień ognia zatoczył, — tak się nam wartko pieśń w ustach zapaliła.

Pieśń żołnierska, do której przyszło tysiąc przekleństw, która jest tysiąc razy nienawiścią, nim raz jeden ukocha, za której fałsz natchniony kupuje żołnierz sławę!

Śpiewamy więc na wiarę tej wiecznej nieprawdy, aż tu po jednym, po dwóch wtaczają się opiekłe matadory miejskie z kieliszkami, z flachami, z likierkiem. Płaczą na klapy starych wytartych surdutów, i płaczą na podłogę, — bośmy bracia!

Okazuje się, — my do was tęskniliśmy, wy do nas, — bracia!

Pijemy.

Z ciastek, z befsztyka, z likierków uciera mi się łącznie nasz dobry, polski świat, w którym nikt nikomu nic nie dał, zabrać jeszcze nie zdążył, tylko serca otwarte na przestrzał.

Tu kuse mundury, tam znów gęste główce, — w pośrodku krępe słowo.

Bardzośmy sobie świadczyli: — Cywilusy, że choć służymy za niemieckie marki, lecz to przecie dla broni... My znowu cywilusom, że małodusznie siedzą pod listkiem swej kapustki, — lecz zato trwają... Potem my im, w opowieściach, żołnierskie trupy do stóp szczydrze rzucamy, oni zaś nam bydelko swe w światowej okazji zmarnowane wypominają.

Jeszcze raz tedy zaczyna się przy flachach odwieczny proces każdego polskiego Powstania, — kłótnia oręża z chlebem.

Pijemy i słuchamy i gadamy.

— Jak ci w pysku? — pyta mnie nagle Kujon.

— Idę do domu, — dość.

Idę na swą kwaterę wedle otrzymanej karty do porządnej rodziny, w myśl zapewnień adjutanta.

Niestety, porządna rodzina mieszka tak daleko!

Śnieg błyszczy przy księżycu, wicher skuczy u węglów, nademną i nad miastem gwiazdy świecą — cóż tu o tem rozprawiać? Gwiazdy świecą od tak długich, strasznych milionów lat, — aż się trzęsie z podziwu czule, pijackie serce.

Nareszcie jest ten dom i ten ciemny korytarz rodowity i jest próg i wchodzę.

Szmer śmignął w głąb mieszkania, — jakieś kroki splątane...

Czekam. Chrząkam.

Wybielona jadalnia, — w ciasnej gęstwinie sprzętów, stłoczonych pod ścianami serduszko naftowego światła pod żółtym kloszem, — na stole zaś spękana cerata i osłe uszy rozłożonej książki.

Stoję, dyszę, czułość w sobie przerabiam, szmer

wzmaga się, gdy oto trzaskają drzwi i wtacza się czcigodna postać, — a raczej gmach.

Barwne szale tureckie powiewają na gmachu, ogromne dżety na tęgich wykuszach tej postaci błyszczą, jak ciemne okna.

Jeszczem skłonić się nie zdążył, gdy jejmość:

— Przybywasz pan, żołnierzu polski do domu ubo-giego, sierocego, lecz szlacheckiego!!!

Pochyliwszy głowę, spojrzałem pokornie. Wszystkimi piętami trzęsło szlachetne natchnienie, w czarnych dżetach rozniecając światła.

Za jejmością u drzwi, pośród fałdów zetlałej kotary trwał płowy chór główek chłopięcych.

— Moje sieroty, panie kawalerze, po świętej pamięci mężu, dzień ten zapamiętaj! Bo ja, panie, wdowa, chociaż teraz w mieście żyję, lecz ze wsi jesteśmy, dobraśmy własne mieli. Czekamy na pana od czwartej po południu, ale tyleśmy lat na was czekali, że godziny nic tu nie znaczą!

Przeprosiłem, — przy każdym kwaterunku tyle spraw, — służba.

— Służba! — trzasnęły naraz wszystkie czcigodne balkony.

Popłynęła długa mowa tronowa, której sensu nie mogłem być uchwycić, błędząc roztargnionem spojrzeniem po twarzach dzieci. U zbiegu kotary trwała między niemi najstarsza dziewczynka z gwiazdą karbidowego światła w uniesionej dłoni. Szttywne promienie szły pochyło przez gładkie uczesanie i, omijając twarz, płaszczyły się na piersi, sklepionej wysoko ponad wypukłym garbem.

— Czem chata bogata tem rada — przybiła jejmość.

Nareszcie mogłem się ruszyć. Więc nuże ściągać ku-brak, nuże rozluźniać rzemienie. Każdy szczegół mego uzbrojenia brały troskliwie dzieci w swe spierzchle ręce i odnosiły do jakiegoś — mego pokoju.

Przeszliśmy do salonu. Tu dopiero na ścianach niskich, niby ciemne, olejem nasycone bułwy, ciemniały werniksowane portrety przodków, fortepian orzechowym tyłem godził z kąta w stronę kominka. Wokół pieca łuszczył się blask w szklanych, niskich serwantkach, przed kanapą trwał wielki stół wygodnie na swym obfitym cieniu.

— Czem chata bogata tem rada. — Zapraszały we dwie, jejmość i najstarsza córka, — garbata panna Sylwina.

— Wcale nie żadna panna, to jeszcze dziecko, panie kawalerze.

— Już nie dziecko, mamusiu, mam ośmnaście lat.

— Tak, dorosła osoba — potwierdziłem, zasiadając cnotliwie do poczęstunku.

Na białych mereżkach, niby na fali zmarszczonej w przezroczystych galerach topazy, korale, rubiny, ametysty, granaty, — stały w tłoczonym szkłe konfitury z dereni, berberysu i głogu. Opodal wonna lódź kryształowa, pełna smażonej róży, ciemnej, jak krew.

— Dużą łyżką, panie kawalerze i więcej pan nabieraj.

— Kiedy żal szłowiekowi jeść, szanowna pani, bo konfitura rzadka, dziś nikt takich nie robi, ktoby to tak drelował.

— My, panie kawalerze!

— Berberys, proszę pani, jadłem ostatni raz jeszcze w dzieciństwie, u matki.

— Wszędzie tu pan, kawalerze, jesteś u matki, pośród nas.

Dzieci stoją przy fortepianie, Sylwina białymi palcami trąca w żółte klawisze, świetlista żałość łśni w jej zczesanych włosach i zaciska niebieskie skronie. Ptasi nasek rzuca cień na usta, z których płyną słowa żołnierskiej pieśni, podczas gdy z oczu — jedna za drugą łzy.

Dzieci chórem wtórują, aż im gardła jaskółcze wi-dać do dna, a ja drzę: Ponad pamięcią wojny u krzaka wspomnień zawieszony, — z któregośmy nad Wisłą głóg rwali z matką i berberys do garnuszka niebieskiego zbierali i ciemne derenie z rosą kładli na talerz — kiedyż to było, kiedy?!

Straszna mitręga ostatnich lat wojennych kona już teraz może, — światło się zapaliło zgubione, lódź kryształowa pełna krwi, a krew znów pachnie różą matczyne uśmiechu ponad pamięcią wojny — u krzaka pierwszych wspomnień.

— Czcigodna pani rozumie — rzeknę — że taki poczęstunek na mój głupi, żołnierski żołądek i tyle waszego serca, szanowni a kochani!

— Tyle serca, cóż nasze serce, — odpowie panna Sylwina i znów białymi palcami gra po żółtych klawiszach i z wnętrza fortepianu płoszy bystre mole, co niby żywe strzępy złotego ongiś czasu giną nieznacznie w mroku.

Chłopcy drą się radośnie, — uciekłem, grzeszny niejako wobec naiwności tego święta.

Śpiewają wszystkie zwrotki, ale zrzuciłem już rzeniemie, mundur, buty i kładę się do łóżka. Każdy mój ruch tonie w lekkich, puszystych piernatach.

Jedna wdzięczność!

Teraz zwinie się człowiek, koszulę aż po pięty naciągnie, kolana zaś pod brodę wetknie i spać — bez miłosierdzia!

Gdy jeszcze raz pękają drzwi pokoju, wchodzi jejmość ze świecą w ręku, z olbrzymią skórą na ramieniu.

— Czy panu wygodnie?

— Owszem, przezacna pani, — westchnąłem cicho w betach — bardzo, bardzo wygodnie.

— Bo ja myślę, niewiele mówiąc, żeście panowie dosyć namarзли i że nim się człowiek wygrzeje... Więc przyniosłam naszego niedźwiedzia.

Zwalila mi z pleców na nogi całą górę brunatnego futra.

— Tak, panie, nie mam wiele, ale co mam, niech służy. W tych niedźwiedziach ojczysko jeszcze jeździł. Ile razy na te futra popatrzę, myślę, — żyło przecież kiedyś ojczysko! To jest najcieplejsze, panie, co mamy!

Najcieplejsze, co mieli, dali mi do snu, najlepsze, co kryło się w spiżarni, na stół, najwygodniejsze, co się w starych kątach domu przechowało, — do użytku.

Dla mnie niedźwiedzie, konfitury, dla mnie największa lampa, dla mnie francuskie mydło, gdy sami łojowem skórę sobie tarli.

Mało tego, żem sobie boki grzał, tuczył, żem się wciąż płukał mocną, świeżą herbatą i co było dobrego moc-

nym zębem wyjadał. Jeszcze mi legendę swych gratów i sprzętów ofiarowali szczerze.

Oto w tych skórach ojczysko na komisję jeździło. Przy tej lampie nieboszczyk stryj, powstaniec i notariusz, największe akta ładził, a ów bukiet wiecznej trawy australijskiej ciotka z sobą zawsze wozila, od czternastego roku swego życia miłości jakiejś nieszczęśliwej wierna do końca swych panińskich dni.

Jakby chcieli, bym z ich historii pożywał od niechcenia.

Nie było wkrótce chwili, by o ciało moje nie dbano i wraz, by „zbołałemu“ duchowi rozrywki nie stręczono.

Mam iść rano do koszar? Już w salonie przy świecach krząta się panna Sylwina grijowane kromeczki, ni to małe tomiki ustawia w platerowym stojaczku. Już złoty deseń maselka wdzięczy się przed talerzem, już ci cho pluszcze herbata.

Jem dobrotliwie, niejako ofiarnie na koszt zasług i misji żołnierza. Rozwalilem się w fotelu, pożywam suto. Z wielkiego karla stróży nademną panna garbata, uśmiechnięta, zielone oczy nakrywa rudą powieką i w miarę mego posiłku rumieni się radośnie.

Lub może po południu wracam z koszar? Już czeka otwarty fortepian, albo książki, najlepiej stare, Pamiętnik Kwestarza czy też Śpiewy Historyczne — których to śpiewów — jesteście dalszym ciągiem.

Błądzimy razem po wydaniu „wyciśniętem w Warszawie w 1816 roku“, okazuje się, że wszystko było już postanowione za Leszka Białego, a stary Goworek...

— Stary Goworek to Piłsudski! Zobaczysz „Ojczyznę na tronie“!

A może wracam wieczorem z jakiejś pijackiej kompanji? Jest na mnie sposób wieczorem. Oto między buty, rozrzucone ostrogi, zabłocone rzemienie, pokręcone sznury, z którymi się param, wpadnie cichutki szept panny Sylwiny.

— Termos z gorącą herbatą czeka na kominku.

— Tego już doprawdy za wiele, — mówię nazajutrz przy podwieczorku, — droga panno Sylwino. — Tuczę się tu, jak bąk, pasa już nie dopinam, a pani jeszcze po nocach dla mnie czuwa?!

Sylwina w szkle serwantki wielokroć załamana wyciąga w górę rękę: — Dla bohaterów nigdy nie masz pieczy za wiele. Bo kiedy myśmy tutaj wygodnie siedziały, wyście tam życie kładli!

Tedy nakoniec zerwę się z nad talerza pełnego truśkawk i nużę ostro gadać i nużę płacić za te niedźwiedzie, mydelka, konfitury, — szczerą, pocziwą prawdą. Żeśmy nie żadne „bohaterzy“, a kupa zwykłych ludzi i służba służbą, a obowiązek obowiązkiem, lecz że się człowiek w danej okazji, jak każde inne bydlę gliniany robi ze strachu, a gdy działa biją, kark mu się gnie jak z wosku. Niema tu co tak wiele rozpowiadać.

Sylwina siedzi cicho, stopy pod siebie chowa, białemi paluszkami mroczne powietrze przecina, szypułkowatą pierś naprzeciw słów wysadza: — Niech pan mówi, to lżej, o wiele, wiele lżej.

Więc mówię, — bez pardonu: Żeby nas w cukrze nie kandyzowali. Żeby o nas myśleli poprostu, jak o zbożu,

ogniu, czy też chlebie. Żeśmy tak samo wkońcu, biedni, zwyczajni ludzie...

Pod plastrem nikłych włosów białe czoło garbuski mieni się różowością, do skroni przywarł cień. W oczach płonie pokora a usta wiernie proszą:

— Tacy są może inni. Inni może się boją. Ale wiem, — nigdy pan!

Perkalowe rękawki Sylwiny opadły wzdłuż poręczy.

— Nigdy ja? — Odsunąłem co żywo herbatę i walę całą prawdę, naprzekór wiecznej, australijskiej trawie, lampie, przy której stryj nieboszczyk tak ważne ładził akty.

— Nigdy ja?

Jak był las i droga przez błota, straszliwie ostrzelana. Mam jechać tą drogą a tu wyrwy ziemne raz po raz skaczą z pod wystrzałów. Pewna śmierć, — jakąż rada? Cała rada, że we dwóch zginiemy, ja i koń. Na moim nie pojedę, bo to tępak, głupiec!

— Nie wierzę mu, proszę pani, nie wierzę. No i stoję pod przyźbą chałupy, przedemną stajnią otwartą, co raz ogon przez słońce w cienistej głębi machnie. W głowie mam razem, jedno przy drugim, — słowa mego dowódcy i ów ogon mego durnia wałacha. A w oczach czarny strach!

Aż oto, — i niech mi pani wierzy, więcej to wtedy dla mnie znaczyło, niż żeby sama Ojczyzna przyszła w niebiańskich szatach. Aż oto przypominam sobie, że jest w oddziale kobyła, nazywa się Kurula i ma źrebię. Pojadę na Kuruli!

Wie pani, co znaczyło, że sobie tak umyślił? Znaczyło, że jestem nic, szmatka, proch, jeszcze mniej!

A Kurula jest życiem, świątynią, — ocaleniem. Pojadę na Kuruli, bo ma źrebie! Bo w mojej głowie siedzi Ojczyzna, dowódca, raport i ja sam i moje głupie myśli i mój strach. A w podłużnej głowie Kuruli instynkt! Jej źrebak będzie się z dzwonkiem na szyji przez te ognie pętał. Ona zaś, ona, kobyła, matka, wyczuje drogę bezpieczną swemi kochającymi nogami. Wyczuje za źrebaka i siebie przez te wszystkie ognie. Wyczuje instynktem, złożonym ze stu milionów lat.

— Ze stu milionów lat? — Perkalowe rękawy spo-  
czyły na twardym garbie piersi.

— Ze stu milionów lat, powiadam pani.

— A jak wyglądała Kurula? Pewno silna!

— Nie chodziło o siłę. Naturalnie, że swoją drogą dobrze wyglądała. Jak zawsze matka po dziecku. Ale w tym wyglądzie nie owies znaczył, nie szczotka, nie zgrzebło. a tylko proszę pani, — nadzieja! Krótko, — matka po dziecku. Liczyłem na jej miłość do źrebaka, niejako mokrą jeszcze od potu i tak niedawnej krwi.

No więc ordynans ją przyprowadził, — myśli pani, zem jej nogi oglądał? Nigdy w życiu. Czarne, aksamitne wymię miała nabrzmiałe, pokreślane żyłami, widać pełne mleka. Ach, dobra matka, — w tem całe moje życie. No więc siadam, cugle proszę pani puszczam, skorom tylko na drogę wyjechał.

Tu, na drodze, świat mi się w uszach rozlatuje od huków, obłoki zmięszwały się w oczach z kitą brzoź, czarne jęzory gleby tryskają z ziemi pod niebo, — źrebaczek dzwoni wesoło.

Kurula zjeżyła grzywę. Może galopem iść. Może odrazu skoczyć. Myśli pani, zem ją trzymał? Nie trzymam.

Cugle wolno puszczane. I cóż kobyła? Kobyła sobie drogę wybiera środeczkiem, noga za nogą pomalutku, — czarne snopy ziemi taczają się po bokach, — ale tu proszę pani niema i nie będzie błędu, — o n a wybiera, m a t k a! Tam gdzieś w głębokiej czerwieni kobyłego serca niesie mądrość większą od mapy, od balistyki, od piroksyliny, od wszystkich zegarów szrapnela!

Zatrzeszczała podłoga, krzeselko w tył odskoczyło, tuż przedemną majaczeje twarz panny Sylwiny, oczy płoną tak blisko:

— Jeżeli się pan bał, — jabym się za pana nie bała. Jabym chciała za was wszystkich wszystkie kule dostać naraz tu — w serce! Za was wszystkich, — za pana!

I przykładła me palce do twardych sklepień garbu.

Jakbym przez chwilę trzymał pocisk armatni, obló-  
czony perkalem.

— Za was wszystkich — wszystkie kule!

— Ba, — wołam, cofnąwszy szybko ręce, kiedy to w życiu jest właśnie wprost przeciwnie. — Armaty lubią ludzi tęgich. Właśnie żołnierze są od tego, — właśnie my. Armaty też, proszę pani, mają swój smak, apetyt. Ba, — krzyczę coraz głośniejsze, aż trawa australijska szeleści na kominku, — ludzi tęgich, zdrowych!

— Wszystko jedno jakich. — Mróz tchnął przez policzki Sylwiny. Obszukała się trwożnie rękami. — Wszystko jedno... Zupełnie wszystko jedno.

Odkoczyła na fotel. Chude, suche jej dłonie trzepotały w powietrzu.

Tego samego wieczora byłem u adjutanta, że u wdowy nie będę mieszkał, nie chcę i nie mogę.

Wyszukali mi inną kwatere, odczekałem jeszcze kilka dni i któregoś ranka:

— Tak, proszę pani, przenoszą mnie do koszar.

Śnieg padał, na ulicach było jeszcze pusto, trzaskalem szablą o bruk, mali chłopcy biegli przodem, Sylwina szła obok w milczeniu.

Zatrzymaliśmy się na rogu, pod basztą, gdzie mieliśmy się rozstać.

Twarz garbuski opadły płocze dreszcze, — wargi lśnić się zdały a oczy zawiął cień.

— Tak zawsze pragnęłam, — prosiła mrużąc powieki pod płateczkami śniegu, — tak zawsze pragnęłam ogromnie, żeby się móc poświęcić, — pomóc. Oddać za drugich życie! Ale nikt nie chciałby... Nie potrzebowalby! Nikt nie chce — nawet mojej śmierci!

Błado-zielone źrenice rozprysły w łzach. Podała mi kościstą rękę, która w mojej rękawicy żołnierskiej spoczęła, niby ciało zmarzniętej ptaszyny.

## BŁĄDZENIE NOCNE

*Zależało nam tu na reprezentacji, tembardziej, że byliśmy o wiele biedniejsi od całego otoczenia. Każdy ziemianin miał przecie tę „ostatnią“ parę koników, wystających, rzekomo ziemniaki tylko jadły, — ale jakże para takich kartoflarzy rwala po grudzie, a jak ciągnęły nasze głodne chabety?! Każdy ziemianin, miał przecie powozik lakierowany, bryczuszkę na resorach smarowanych, — podczas gdy nasze wolanty kucaly na każdym kamyku.*

*Więc tyle tylko pociechy naszej, że wyglądamy zachowato. Jesteśmy w szarych kubrakach, które tak dużo wzięły w siebie wiatru, deszczu, słońca i potu, że mają kolor, jakiego nie nada żadna fabryka, — kolor trwania. Nasze okrągłe czapki tak są wdrożone, że nie tylko przepis reprezentują, lecz myśl głowy, którą okryły. Nasze stare skórzane pasy tak są mądre, — że oficer oddychać przestanie, a pas jeszcze mu na brzuchu chrzęści, — z przyzwyczajenia.*

*Po drugie, żyje w nas silna nadzieja, której nic przemóc nie zdola: — Ona to sprawa, radosna i bezczelna, że wszędzie u siebie w domu jesteśmy, wszędzie dobrodziejstw jakichś okazanie za obowiązek sobie poczytujemy.*

*Ona to właśnie popędza nas tak bardzo, że po pracy w koszarach, Kujon, Leń i ja siadamy na kandyby i je-*

dziemy, — świadczyć dobrotliwie wszystkiemu, co nam drogę zastąpi.

W tym składzie rzeczy byliśmy już w bardzo pańskim dworze i tam górne nasze słowo wraz z grubym błotem butów padało na posadzki.

W tym składzie rzeczy nawiedzieliśmy dwór inny, wcale nie pański, lecz bardzo zasobny. Wszystko tu było jakoby na słoninie, zawiesiste jedzenie, pulchne dzieci w opieklonych poduszkach, psy dobrobytem charczące, konie połyskliwe, ni to w smalcu kąpane i pani z tłustych podbródków przy fortepianie romanse płaczliwe tocząca.

Tu Kujon na środku salonu rozrzewnił się, — takich rodziców chce mieć, — jako że był sierotą i przy każdej żywszej okazji upatrzonym rodzicom się ofiarowywał.

Dziś znów klusujemy za miasto, wielkiemu wichrowi martwych pól na spotkanie, czarnej nędzy ludzi naprzeciw, która w tych czasach strasznej wojny świata strzępi się po drogach, gościńcach, ścieżkach i wszystkich miejscach kraju.

Nazywało się, że chcemy wyszukać pewnego chłopca, który się był już zetknął z pułkiem w mieście, organizator, działacz. Nici ludowe w rękach dzierżył, a myśmy mieli owe nici, na ile się broni tyczyło, przejąc i jeszcze mocniej związać. Prawdę atoli rzekłszy, — pod rzeczonym powodem leżał inny, głębszy i on to właśnie rozlegał się przemożnie w naszych sercach...

Młodość nas pchała na drogi, przez mrozy, wiatry i mroki! Między różgi szronu, które się nad bruzdami gościńca kręca, między stare opłatki wiejskie, na puste

poła ku niewiadomej granicy widoku, nigdy okiem nie dojrzanej, lecz w sercu zawsze przytomnej.

— Co z tego masz? — pyta Leń, — co z tego masz?

— Co z tego mam? — Kujon uniósł się na siodle. — Mam z tego, że wiem, dokąd ta droga prowadzi. Mam z tego, — że drzewa po bokach rosną. Mam z tego...

W istocie nic nie mieliśmy, lecz naszej czułości potrzebna była wymowa tego czasu i miejsca, objawiona wichrem po polach, troską chałup przyziemnych pod lasem i postacią biednych ludzi na drodze.

Spotykaliśmy kobiety, obarczone naręczami gałęzi, sunące po śniegu niby ćmy, o łomkich skrzydłach, utkanych z chłosty i mroku. Widzieliśmy dzieci w ubrankach z szarzynny najpośledniejszego ostatka uczynionych, goniące za szczyptą węgla, którą ronił twardy niemiecki wóz. Mijaliśmy starców, których oczy zmarznięte świeciły wśród skudłonego zarostu, jak blade piętna pustki.

— Co z tego masz? — pytał Leń.

Staliśmy na skřęcie z podniesionymi kołnierzami, omotani długim wichrem przegonu. Wiatr nam odginał futra, tkając zimno w plecy, a w uszy zwoje monotonnego jęku pól.

— Co z tego mam? — krzyknął znów Kujon, — a kto ma co z czegoś wogóle?

Ruszyliśmy naprzód stępa.

— Nikt nic nie wie wogóle, — powiedziałem, — a już najmniej, dlaczego los swój poprawia. Jak nie wiedzą te drzewa przy drodze po co gniazda na swych gałęziach trzymają!

Kujon roześmiał się pogardliwie. Owe bowiem komsmate grudy, które obrzucone były wysokie gałęzie

topoli, — to nie żadne gniazda, a najzwyczajniejsza w świecie jemiola.

— Wszystko jedno, — klóciłem się. — Więc tak samo, jak wiatr ją niesie —

— Wiatr jej wcale nie niesie. Ptaki ją roznoszą, idjoto, po drzewach. Zresztą jest to pasożyt, który kwitnie w zimie.

Wszyscy trzej spojrzeliśmy wysoko na suche patetyczne gałęzie, między którymi trwały zwarte wianuszki ciemności, teraz rzekomo kwitnącej.

— Gdzie ci tam to kwitnie, — szydził Leń.

— Kwitnie, bo tak jest w botanice.

Odpaliliśmy papierosy jeden od drugiego i konie ścisnęwszy, ruszyliśmy znów kłusem, Kujon pierwszy z ogniem papierosa, niby z ostem czerwonym w ustach.

Zachód już się był przetoczył po białej ziemi, wysokie szczyty lasów zatrzymały go na chwilę i zgasł. Mrok zapadał, organizacyjny adres nie był dokładny, nazwa wsi pomyłona, działacza nie znaleźliśmy. Leń zaczął prowadzić krótszemi drogami, przez lasy, które powinny dotykać szosy, ale właśnie naprzód płynęły w noc coraz głębszą.

— Żeby przynajmniej księżyc! Zsiadać, psiakrew.

Konie szły głuszą leśną, pełną szorstkich oddechów krzewiny, rozścielonej bezpiecznie pod westchnieniem ogromnych sosen. W kopyta nabijało się śniegu. Stukały delikatnie, budząc pod ściółką miękkie aksamitne tętna.

Brnęliśmy przez ciemność tak gęstą, że trudno było omijać pnie drzew, czy też krzakom miejsca ustępować. Ciągle brały nas w swe zimne, kruche objęcia. To znów

pod nogami otwierała się puszysta przepaść. Szliśmy naprzelaj, konie potykały się na przerośniętej ziemi.

To znów, czekaliśmy, drepzcząc po rozrośniętych szerokich pniach, głodni, zmarznięci, niespodzianie na tę siwą skroń lasu zabłąkani.

I znów ciemność zaległa szczelniejsza, tak gruba, żeśmy całkiem prawie widzieć przestali. Pewnem jednak już było, że na jakiejś drodze jesteśmy i w pobliżu ludzkiego obejścia. Ziemia układała się pod nogami celowo i rozsądnie, jeżeliś zbaczał, to cię zawracały z powrotem ckrupkie szpalery krzewów, w myśl ładu logicznego rozsadzonych. Nawet sam oddech wezbranej nocy miarkował się między porządkiem roślin i zagonów, rozszczipiony na głosy łagodniejsze i miększe.

Jeszcze nieco szukania — i oto dwór. Był przedtem jakiś inny, lecz teraz już spalony, a ten znów teraz od nowa wystawiony. Ciężka bieda na nagich ścianach wapnem wybielona, niewiele światła z lampy, wielki ból między matką a ojcem o jedynego syna, bo nie wiedzieli — czy lepiej iść za synem, czy też pozostać tutaj i własności pilnować...

A potem wyjeżdżamy przez wrota, złotem starej latarni sprószone i znów jest noc i ciemność i wicher ogromny na wyslizganych śniegach i trochę blasku pod ścianami chałupy i krzyż nad kopcem jakimś przy rozstajach przegonu, a jeszcze w dali, tam właśnie, gdzie nie widać już nic, zwój ogromnych ciemności przetyka się wraz z śniegiem, i jeszcze co innego: Jakoby latał tam nieznanym głosem, daleki głos ciepły, strudzony, nieśmiertelny?!

Jedziemy za tym głosem ciemności oddalonej, przez

wielkie ciężkie śniegi, w tętnie naszych koni, wszyscy trzej, Kujon i Leń i ja wpatrzeni tak żarliwie w tę głuchą noc.

*A teraz oto stanęliśmy pod kępą drzew, w milczeniu.*

*Słyszę nasze oddechy.*

*Cóż to się w nich przerywa i łączy i znów rwie i znów razem wynika?*

*To miłość, — miłość, — miłość do tej ziemi nie daje nam spokoju, — dobra żołnierska miłość: — Włóczyć się marznąć, gonić i czuć cię nieustannie, ty grudo nieżyczliwa, ty twardy mrozie i śniegu nieprzebyty, — wszystka rozpaczy i każda, każda, — każda z wszelkich ciemności świata!*

*Ptaki wiją na drzewach jemiółę, — nas goni wiatr po drodze, opasanych rzemieniem.*

*Kujon i Leń i ja objęliśmy się wzajem, — konie drepczą pod nami w miejscu, Leń śmieje się po cichu, a Kujon płacze, — para nam leci z ust gorącym srebrem — to jest nasz ludzki dech wezbrany! Wezbrany szczęściem niezaradnem wobec ciemności tej, — wobec miłości tej, — wobec Ojczyzny naszej.*

BOGOWIE

I.

PÓŹNEMI CUDAMI PŁONĄCY.

Mój dniu malutki, późnemi cudami płonący, którego godziny nawijały się zawsze tak wolno na skore wrzeciona czasu, wieńczony uśmiechem rodziców, — dniu kochany, któryś zaczynał krok wśród dzieł i mis, pełnych złotej opatrności żółtek, a kończył w blasku kolorowych świeczek, podłużnem sercem płomienia kwitnących na choinie.

Mój dniu i nasz, w rodzinnym domu. Nasz wszędzie indziej! Nasz w wszystkich domach miasta, — nasz we wszystkich domach świata! Nasz, — dzieci, przejętych nabożnem czekaniem, wychylonych ku niebu, z którego nim zejda gwiazdy i aniołowie, łuszczy się śnieg proroczy! Nasz dniu, kołysany o zmroku kolendą, w figi, daktyle i suszone owoce strojny, u kolan smutnej matki falami radości końca dobiegający, — jakże daleko odszedłeś!

Twarde, wojenne czasy obrały cię z wszystkiego. W bitwie tęsknota po tobie została, czyż nie śmieszna między pożarem a krwią? Na odpoczynku zaś, choćby jak tu, w starym, czerstwym Pułtusku, pośród najlepszych nawet ludzi, cóż z tobą począć?

Gdzie złożyć twą kosztowną wyłączność, jak zamknąć przed miejscem i czasem coraz nowszym?

Zdawało mi się, że w ten sposób myślę i czuję, gdy siedzę z mego zimnego mieszkania „nad bramą” — gdy mijają małe domostwa, przetykane zaśniewionym nieużytkiem, gdy się znalazłem w gmachu, — jak lubią być u nas gościnne gmachy małych miasteczek, — poszkolnym, poklasztornym, pokościelnym, posadowym? Zdobyły go jeszcze po wierzchu gotyckie łuki i kute, stare wrota i mury rozparte, po kątach grzybkiem wilgoci trefione: — treść jakoby utracił. Niewiadomo, co się w nim za praca odbywała, prócz przygodnego święta.

Dziś mieliśmy tu jeść żołnierską wilję, przez komitet miasta i ziemiaństwa naszemu szeregowcowi wydaną. Właśnie, — szeregowcowi. Tak chciały komitety, i myśleliśmy tak prosili, oficerowie. W tym dniu wielkiej nadziei, na Najmniejszym skupionej, wszystko, na co się zdobyć możemy pod postacią pieniędzy, podarków, wiktuałów, grzybów, kapusty, pieczywa, ryby, papierosów, — będzie oddane tym, którzy zawsze mają najmniej.

Wilja naznaczona była w odprawie na drugą popołudniu, ale to przecie wilja dla tysiąca chłopaków, więc pracowano od rana. Na schody wejściowe naniesiono już tyle śniegu, że udeptał się z niego chodnik, jakoby lity oksydowaniem srebrem.

Po obu stronach pilnowały go młode sosenki, z których bezdomny drobiazg miejski wciąż strącał śnieg „na naszą cześć”, — żeby gałęzie tchnęły czystą suchością, jak kiedy stoją w izbie.

W refektarzach, salach dawnego sądu, czy też dawnej nauki, — bo nikt nie mógł ściśle powiedzieć, co się tu sprawowało, — stoły już były wyręchtowane w pod-

kowę, nakryte białą pościelą, już nawet zastawione talerzami i miseczkami.

Pod łukiem ciemnej sośniny prószły te serwisy osobliwe potulnym blaskiem.

W izbach panowała jeszcze cisza, a w kuchniach, umieszczonych na końcu długiego korytarza, — piekło!

Dymiące wulkany kapusty, ciemna, chłonna kurza wa spoconych kasz, oślizgły skręt pociętych drobno kłusek, duże rydze, jak płaty wątroby po stolnicach chłapiące, spierzchły zgrzyt wzdętych bochnów chleba, wartkie ciało bułek sypane z kosza do kosza, srebrny połów łyżek, ciągniony z miejsca na miejsce, wrzask tłuszczu, wrącego na patelniach, grzmoty przykryw, miotanych na roziskrzoną blachę, — wszystko to w danej chwili stanowiło jedność groźną, straszną, i nie dziw, że nie mogły sobie dać z nią rady liczne panie w prasowanych fartuchach, ani otyli panowie komitetowi, laskami wskazujący drogę żywiołom pary, hałasu i jedzenia.

Gdzież tu miało się przytulić moje ciche wspomnienie? Samotności chciwe i ukrycia, w samotności rodzinnej dojrzałe, gdzież tu, wśród miejsca i ruchu na tyśiące obliczonego, zaciszną stronę odkryć mogło?

Zbudowany tedy, lecz jeszcze większą obcością zdjęty, wróciłem do mego zimnego pokoju nad bramą, by, odziewszy się w futro, zasiąść przy stole, obok krzywej umywalni, naprzeciw okna, i pisać list.

Do kogo, — o czym?

Do nikogo o niczem, — bo jeżeli dzień każdy przynosi, ile dawniej rok unieść nie zdołał, to jakże w tym zamęcie hodować dawne wspomnienia i drogie cienie zwolywać? Gdy jedną drogę dawną tysiąc nowych omo-

ta, a cieniów się nad nami unosi tyle, że nas wypełniają czarną swą nocą po wszystkie brzegi?

Wtem rypnęła na dole brama, tupanie, kichanie, pryhanie na schodach, stateczny łomot w korytarzu, — to Kujon oczywiście.

Nie zdjął futra, nie rozpiął pasa, jak był, w czapce, usiadł na łóżku, wziął papierosa, zapalił, rzucił zapalną na podłogę, nie dał ręki na przywitanie i wreszcie:

— Wilja jest dziś o drugiej, wiesz?

— Wiem.

— Wiara ci od rana nic nie żarła, tak się szanują na tę wilję! Bycze miasto, co?

— Bycze.

— I panie tam widziałem w kuchni, — matrony!

Trudno było wywnioskować z intonacji, czy szacunek unosi się w wykrzykniku, czy impertynencja.

— Panie rozgrzane, rumiane, panowie z sygnetami. Rzadki fest! Dasz się ogolić?

Golił się skrzętnie, skrobał pod oczami, pod grdyką.

— Pudru nie masz?

Wspomnienia plotą się, tak myślą, trącane falami minionego. Co ważniejsze? Czy głos dzwonka, czy układ żył na skroniach pochylonego ku nam ojca, czy zapach klejonych żołnierzy z pod drzewka, — czy śmierć, która już nad tem wszystkim tak dawno przeszła dalej?

— Jeżeli mówimy, — rzekł nagle Kujon, — to mogę ci powiedzieć, że dla mnie, cała ta wilja i wogóle, tak zwana gwiazdka... Możesz sobie w tem mieszać, jak w kapuście!

— Nie chcę.

— Ale możesz: — w okrągłych, niebieskich źreni-

cach Kujona stanęła przestronna nieobecność. — Bo ja ci powiem...

Zaczął przelykać wzruszenia, i niewiadomo kiedy rozsnuły się wyznania krótkie, proste, nieogłędnie potrącane słowami:

## II.

### BOGOWIE.

— Bo wy myślicie, że ja zawsze byłem, cóż tu dużo gadać, takim kanciastym Kujonem, bykiem? A tymczasem, gdybyś ty mnie, bracie, widział jako dziecko! Taki ci byłem przepisowy, wzorowy! Wszystko, co stoi w elementarzu i w wypisach, jako przykład. I nawet dokoła mnie tak się przykładnie składało! Łatwo wam gadać, których ojciec był doktorem, adwokatem, albo inżynierem! To już zawsze stosunki, stanowiska. Ale mój ojciec był rzeźbiarzem świętych figur do kościoła,—mikołajków!?

Od zarania pamięci wychowywał się Kujon u tego ojca, rzeźbiarza, i matki, krawcowej, w tłumie świętych. Za dobrych czasów pełno ich było w domu, i nietylko, że czekali cierpliwie w pracowni, nietylko, że gościć ich trzeba było w izbie jadalnej, ale nawet nie mieścili się w korytarzu! Wynosiło się ich na dużą werandę, z której, zaglądając do okien mieszkania, schli pobożnie.

— Powiadam „pobożnie“, bo tak to wtedy rozumiałem. Póki stoi sama naga pałuba, to nic. Ale kiedy ojciec już jej ręce przykręcił, twarz wyrzezał, wypolerował i złotą aureolę przykleił, — to niby jak?! Dla mnie do dziś drzewo i klej to świętość. Rozgotuj garnek dobrego

karuku, niech mocny zapach rozlegnie się w pokoju, — a ja ci zasnę ze wzruszenia!

Już nie mówiąc, co do drzewa. Może być miękkie, trwałe, twarde... Weź, na przykład — gruszką. Ma w obróbce ciało różowe, jak kobieta. Albo buk, — też się płoni, jakby się wstydził. A słoje! Buk będzie ci miał na sobie zatoki, przysięgniesz, że jakaś woda w nim umarła. Sosna znów nic nie jest warta, sosnę braliśmy na małe lokalne męczennice. Ale dąb?

Z dębu robiliśmy Trójcę, Boga-Ojca i Chrystusa. Ojciec wszelkiego drzewa! Ja mówię, że cała architektura wszystkich wieków jest w słojach dębu. Na to niema rady, i z tem żaden kształt ludzki, ani nawet plaster miodu co do budowy równać się nie może.

Wtedy, w dzieciństwie — i to mi dużo razy w życiu pomogło, — charakter pisma wyrobiłem sobie na drzewie. Bo drzewo było dla nas, jak zboże, z którego jest ciasto, które się je. Całe pożywienie, całe życie!

Człowiek sobie siedział i wodził ołówkiem po słojach, — nawet nie czuł, że mimowoli rękę kształci. Znasz mój podpis? Jak ci pod nazwisko podsadzę swój zakrętas!

No więc dalej. Tak ci jest w domu wiele lat, że im więcej świętych czeka, leży, stoi, schnie, czy za oknami weranduje, tem nam jest lepiej ze wszystkich stron. Moja matka brała dawniej szycie do domu, niby jako krawcowa, — teraz nie bierze. Nawet rodzeństwa mi przybywa, siostra, potem znów brat.

Ze wszystkiego widzisz, że dobrze się ludziom powodzi, na to nie trzeba wielkiej filozofji, żeby to czuć. Posłuchaj, jak gada stolarz, u którego pałuby zama-

wiamy! Już od drzwi śmieje się, na cały dom, aż złotka z figur oblatuje! Czapkę trzyma w ręku, — dlaczego? Przecie ojciec taki sam rzemieślnik, jak ten stolarz? Bo od nas zamówienia ciężkie dostaje!

To masz stolarza.

Jeżeli ci tego mało, — obudź się w nocy, ni z tego ni z owego. Jak to bywa u dzieci, — z niezrozumiałej wdzięczności.

Co widzisz?

Widzisz cały las świętych, tłustych, zaczesanych, — zawsze mi się zdawało, że podobni są do mego katechety, — uśmiechniętych wesoło do księżycy. Cały las, a jeszcze przed oknami, na werandzie czekają, nim ich do domu wpuścisz! Cały tłum, bracie, z czego wynika ciepło i powodzenie.

Toby sobie tak trwało, i jabym ci z tego wszystkiego, tak dziś myślę, na księdza wkońcu może poszedł, — już byłem w trzeciej gimnazjalnej, — aż tu umiera mój brat najmłodszy. Każdy, gdy był dzieckiem, przez jakąś taką śmierć w domu rodzicielskim przechodził.

Równa się — pogrzeb. Mogę powiedzieć, że z dumą szedłem za karawanem. Takie wielkie nieszczęście, i na to ja, taki mały!

Zmuszałem się do płaczu bez skutku.

Równa się — nad otwartą szufladą komody z zamkniętymi ubrankami krzyk matki, kiedyś-tam szarówką, bo naogół wszystko było dotąd spokojnie.

Równa się — zacięte milczenie ojca. Nigdy żaden ojciec nie powinien tak milczeć, — od tego dzieci pozostałe żywcem schną!

Co się potem działo i jak, w naszych sprawach handlowych — nie wiem, dość, że świętych zaczęło ubywać. Ci z izby jadalnej przeszli do pracowni, ci z werandy znaleźli się w jadalni. A potem wszyscy zmieścili się już tylko w jednej pracowni!

Nie umiałbym określić ci tego długością czasu, bo mierzy się w tym wieku wszystko na stopnie i światła, — ostatecznie jednak pracownia została prawie pusta. Nie miał kto do niej zaglądać z werandy, a jakeś się obudził w nocy, nie widziałeś już uśmiechniętych do księżycy rzeźb — lecz dużą, nożną maszynę do szycia, zawaloną bluzkami dla służących.

I jedno, bardzo smutne: — Dopóki pełno było u nas tych naszych świętych, matka zawsze opowiadała, że jest znakomitą krawcową. Tymczasem od kiedy wyszli, okazało się, że prawie nic nie umie. Służące tak często krzyczały na nią! Cóż chcesz?...

Z ojcem widocznie coś się zrobiło, jakaś zmiana od śmierci tego maleństwa. Mówiłem ci, że świętych ubywało, ale nie myśl przez to, że stary opuścił się, rozpił, lub coś podobnego. Owszem, pracował — tylko całkiem inaczej.

Dłubał ogromnie starannie, zamknięty na cztery spusty. Ale powyrzucał teraz wszystkie wzorki. Dawniej tknąć mi tego nie wolno było, a teraz takimi „przekrojami“ i albumami niemieckimi, — każdy rzeźbiarz mikołajków posługiwał się tem, — czy też różnemi wzorami na liście, girlandy i ozdóbki mogłem się bawić, ile mi się podobało.

Powyrzucał to wszystko i powiedział matce, że teraz — z siebie pracuje.

Co to była za praca z siebie nie rozumiałem oczywiście, w każdym razie jedno jest pewne: nie kupowano tych rzeźb! Może dlatego, że ojciec nie wykańczał? Zaczął jedno, drugie, wysilał się, mordował, tarł gласpapierami drzewo, sam wszystko lepił, odciski sobie ponabijał na rękach i na palcach, a tymczasem w domu zrobiła się najprzód bieda, a potem skrajna nędza.

Nie mogę przypomnieć sobie teraz, jakimi to poszło drogami, nikt właściwie nie wie przecież, w jaki sposób dzieje się taka rzecz, — ale tak jakoś wypadło, że wtedy jedyną moją ucieczką czy nadzieją stał się nasz nowy katecheta. Może poprostu dlatego, że był podobny do naszych świętych z tych jeszcze dawnych dobrych czasów?!

Prałat — więc miał na ramionach pelerynkę zgrabną, króciutką. Był tłuściutki, okrągły, ręce różowe, jakby wycięte z gruszki, ozdobione migdałowemi paznogciami. Mówił dużo, słodko. Zdawało się chwilami, że nawet ślinę ma słodką. Pachniał znacznie lepiej, niż klejem, — z każdego fałdu sutanny wychylał się rąbek fioletu, pomieszany z perfumą.

Uważałem, że muszę mu wszystko powiedzieć. Co to miało być to wszystko, nie wiem i nie pamiętam. Byłem u niego u spowiedzi, rozplakałem się.

Mówilem o drzewie, o świętych. Wiem, że się skarżyłem, że już stolarz do nas nie przychodzi z czapką w ręce, i że mama szyje bluzki, a nie umie. Opowiadałem, że gdyby były zadania szkolne z religji, widziałby, jak ładnie piszę i że powinienem pomóc rodzicom. Że się modłę, ale to nic nie pomaga.

Dał mi rozgrzeszenie, zadał jakąś niedużą pokutę,

a w parę dni później wywołał mnie z klasy i powiedział, że się mylę, że nigdy niczego nie trzeba rozstrzygać za Pana Boga. Że właśnie modlitwa moja została wysłuchana: Widział moje wypracowania w kancelarji, mam ładny charakter pisma, powinienem starać się, żeby za charakterem pisma poszła także dusza, wobec czego on, nasz katecheta, — weźmie mnie do siebie na sekretarza!

Dostawałem za to kilkanaście koron miesięcznie i codziennie podwieczorek. Byłem sekretarzem prałata. Wydawało mi się, że ja, właśnie ja dopełniam tego czego brakowało, aby nasz ksiądz był równie doskonały i piękny, jak święci mego ojca. Katecheta nasz bowiem był krótkowidzem, nosił szkła w złotej co prawda oprawie, — ale powiedz, czy, kiedy się ma trzynaście lat, — mogą być święci w okularach!?

Praca sekretarska w ślicznem mieszkaniu, gdzie krzyż z hebanu (wiedziałem, jak drogie jest takie drzewo) wisiał na atlasowej makacie tureckiej (dla upokorzenia półksiężycy), gdzie na nocnym stoliku leżały pachnące gładką skórą brewjarze, przetykane jedwabnemi haftami, gdzie przy piecu stał klęcznik aksamitny, mahoniowy, wykładany masą perłową, a na stolikach oglądać mogłeś mnóstwo fotografii świętych miejsc, albo nawet przez dioskop fotografie Ziemi Świętej, otóż powiadam, praca sekretarska była dla mnie niebem!

Cóż, że nie czułem się godny tego nieba? Że w nagłym strachu czyściłem sobie ukradkiem paznogcie pod srebrnolitą kapą? Albo, gdy prałat wyszedł na chwilę, że przestraszony żółtością swych zębów, zdrapywałem sobie z nich pośpiesznie osad wilgotny?

I co tu z tego, że wstydząc się chodzić w zabłoco-

nych trzewikach po mięciutkim dywanie w przedpo-  
koju, gdy służący pralata pan Kazimierz nie widział, —  
że je ocierałem do suchości z błota moją własną  
czapką?

Godny, czy niegodny, ale czulem, że tu jakaś wyż-  
sza świętość obraca się na każdym miejscu. Że sobie  
mieszka wygodnie, ani tak tłusta, jak ci nasi święci  
dawniejsi, ani tak szorstka i straszna, jak to, co wy-  
dłubywał teraz z drzewa ojciec.

Miła, czysta, pulchna, grzeczna świętość, — i to  
wszędzie, gdzie rzucić okiem!

Piszesz — zaproszenie do pana hrabiego, albo —  
do pani baronessy, po obu stronach biletu wypisywało  
się tak, żeby „z głębokim szacunkiem“ wypadło zaraz  
nad nazwiskiem, — czy piszesz pod dyktando o maso-  
nach, czy robimy sobie wakacje i — bawimy się w Di-  
ckensa, co znaczyło, że pralat będzie mi swoją powieść  
dyktował, — zawsze jesteś w pośród grzecznej świę-  
tości!

A dopiero, kiedy naprzeciw, z klasztoru Panien  
Salezjanek dzwonek zadzwoni na Ave! Wiedziałem, że  
zaraz przyjdą dwie siostry w białych szatach i, ucało-  
wawszy pralatowi różową rękę, podadzą kawę.

Takiej kawy nigdy w życiu nie piłem, ani ja już pić  
nie będę. Bo także wydawało mi się, że jest w niej świę-  
tość. Obok na talerzyku drogocennym kilka kawalców  
niby chleba, niby bułki. Ani jedno, ani drugie. Powiem  
ci krótko, — dziwne pieczywo, błogosławione! Jeże-  
liby tu mogła być mowa o natchnieniu, to to było pie-  
czywo natchnione!

Jemy, — ja ci się wstydzę łykać poprostu, jeszcze

dodaj do tego wielki żal, bo tu łykam takie dobroci,  
a wiem, że mama nigdy w życiu żadną chyba bluzką na  
jeden taki łyk nie zarobi!

Do tych sióstr żywiłbym gniew, i to byłaby jedyna  
rzecz, któraby mi mogła zepsuć moje sekretarstwo. Aż  
tu wyobraź sobie, siedzę przy tej kawie, skromnie gryzę  
maślaną bułeczkę, cicho przełykam, — gdy co się oka-  
zuje?

Okazuje się, że pralat mówi z siostrami o ołtarzu,  
który nie jest należycie ozdobiony. Że brakuje tam  
rzeźby, a właściwie figury, i że na gwiazdkę taką rzeźbę  
siostrom na ołtarz zamówi.

Wskazał na mnie migdałkiem paznogcia: — Zamó-  
wię u ojca tego chłopaczka. Ojciec jego jest doświad-  
czonym rzeźbiarzem.

Zarumieniłem się, spuściłem oczy, ale kątem źre-  
nicy widziałem równocześnie przez okno wrony, lecące  
po niebie.

Każdą z tych wron całowało wtedy moje serce  
z wdzięczności.

Możesz sobie wyobrazić, jak dumny wracałem do  
domu, i co matka! I jak ostrożnie musiałem opowie-  
dzieć ojcu, — że komuż zawdzięcza dawno niewidzianą  
pracę, — mnie!

Poszliśmy razem do pralata, ja, jak zwykle, ale oj-  
ciec w odwiecznym nowym surducie, w atlasowej kra-  
watce niebieskiej pod wykładanym „rzeźbiarskim“ koł-  
nierzykiem. I swoje drogie spinki miał w mankietach.  
Srebrne pistolety z koralem u wylotu lufy.

Gdy się w to ubrał, choć wtedy wiedziałem, że nie  
mogło być piękniejszego i godniejszego ubrania na

świecie, niewyraźnie mi się zrobiło. Nie wiedziałem dlaczego?

Bąłem się, — za ojca.

Nie potrafi tak grzecznie, jak ja, powiedzieć panu służącemu Kazimierzowi: — Dzień dobry, panie Kazimierzu! Czy tak, jak powinienby, — potrafi zawstydić się hebanowego krzyża na półksiężycowej makacie? Czy okaże wszystkim meblom należy szacunek? Przecież napewno nie wytrze sobie butów kapeluszem, — jak ja czapką wycierałem sobie podszwy? I najważniejsze... Czy należycie przestraszy się księdza prałata, czy pocałuje go w rękę?

Gdyśmy nareszcie minęli jakoś szczęśliwie pana służącego Kazimierza i gdyśmy się znaleźli w salonie (tu właściwie każdy pokój był salonem), w którym pisałem codziennie, — wszystkie meble jakby się rozstały o dzieśięć kroków, a ojciec tak mi się wydał samotny, długi, czarny!

Wtedy pierwszy raz w życiu spostrzegłem, że żółta twarz mego ojca błyszczy się na policzkach.

Przestępował z nogi na nogę, kładł ręce, pełne odciśków, jedną na drugą, to znów wycierał je sobie o spodnie.

Wydało mi się nagle, że muszę go ratować, tem bardziej, iż w drugim pokoju słyhać już było miękkie dreptanie watowanych pantofelków i jedwabny szum prałatowskiej sutanny.

Podszedłem do ojca, położyłem sobie jego ciężką rękę na ramieniu i — tak ci powiem, jak to czułem wtedy, — i zacząłem go prędko uczyć... Żeby wiedział, — żeby umiał! Opowiadałem mu jak najprędzej,

gdzie siedzę przy biurku, którędy chodzi ksiądz prałat podczas dyktowania, gdzie pijemy kawę, że on z tej strony, ja z tamtej, a siostry stoją przy drzwiach.

Ale było za późno, — już wszedł mój katecheta.

Podał rękę ojcu, — który jej nie pocałował.

Ksiądz prałat poskrobał mnie cienkimi migdalkami za uchem i zaczęli rozmawiać, a ja drżałem ze strachu podczas tej rozmowy. Musiałem sobie nawet przypominać, że ojciec jest silny, może dźwigać, umie piłować grube drzewo — więc nic mu się nie stanie.

A może drżałem ze strachu dlatego, dziś możeby tak rozumiał — że wtedy tam na cichym dywanie razem ze mną stały naprzeciw siebie dwie sprawy, które równie kochałem, jedna najlepsza i druga...

Moja miłość i wiara, — czy jak?

Jedno biedne, zawstyżone, z żółtymi błyszczącymi policzkami nad przekrzywioną krawatką, chude, ochryple, w czarnym surducie i zabłoconych trzewikach, — a drugie w miękkich pantofelkach, zapachem i fioletem tchnące, z różową ręką, jakby w gruszcze rżniętą.

Nie umiem ci tego wytłumaczyć.

A kiedy wysłuchawszy zamówienia, — ja wiem, pan jesteś sumiennym pracownikiem, nie panu nie narzucam, ma być Chrystus padający pod Krzyżem, — ojciec mój powiedział, — wszystko z siebie dam księże prałacie, — kiedy to się stało, wybuchnąłem śmiechem.

Najsmutniejszym, jaki może być, bo go wcale nie rozumiałem.

W przedpokoju powtórzył prałat jeszcze raz, żeby było na czas, bo to gwiazdkowy podarunek dla sióstr.

Kiedy się drzwi za moim ojcem zamknęły, a ja

chciałem księdzu rękę pocałować, cofnął ją, obrażony, że się z ojca swego wyśmiewam.

Wtedy rozplakałem się.

O pieniądzech przy całej umowie czy potem ani słowa oczywiście, choć pamiętam, że odnosiłem do ojca list z formalnym zamówieniem na stemplu, i że matka bardzo się cieszyła, bo miało z tego być rzeczywiście bardzo dużo dochodu.

Chciała, by ojciec poprosił bodaj o parę koron na przód, ze względu na święta i na gwiazdkę.

Ojciec, — że nigdy! Wpadł w rzadką złość, — nie mieszać mu do tego żadnych pieniędzy, nie doskakiwać z groszem. Grosz jest dla was, w porę go dostaniecie, — ale dla mnie?!

Cóż więc było *dla niego* z tej pracy w zimnych ścianach pustej pracowni, po której miotał się z kąta w kąt, albo siedział nad drzewem i dłużył, że mu pot z czoła płynął, albo zgrzytał ołówkiem po papierach, albo, drzwi nawet nie zamknąwszy, uciekał.

Wtedy wchodziliśmy tam z matką, aby się przypatrzeć, ile nowych fałdów wyrosło z martwej paluby, czy już gotowe są ręce, co mają krzyż dzwigać, jak się ma rzecz ze stopami, i tak dalej.

Siadało się w nachylonym cieniu postaci, która jeszcze głowy nie miała, i gadało się o nadziejach idącej gwiazdki. Co za to dostaniemy, co sobie kupimy, jak się obsprawimy.

Naturalnie, że nie pamiętam żadnej pożytecznej rzeczy. Ale pamiętam, że gdy się matka pod rzeźbą zasiadiała, w rozmowie naszej zjawiały się wszystkie

zabawki, dla ojca para rękawiczek, a dla niej, której służące wymyślały, — niebieskie piórko do kapelusza.

Te przyszłe radości powiększały jeszcze mój niepokój. Powiem ci otwarcie, że nie zastanawiałem się ani przez chwilę, czy ojciec dobrze rzecz wykona. Dręczyło mnie tylko bardzo, czy zdąży na czas?

Prałat pilił, kazał mi przypominać, wzywał ojca do siebie, a gdy znów usłyszał, co już było za pierwszym razem powiedziane, — wszystko dam z siebie księżę pralacie, — poklepał czarny surdut gruszkowemi palcami raz za razem, od czego mi w piersiach wyrosła nagła, dziecinna duma.

Co to było to wszystko, zobaczyliśmy na dwa dni przed terminem, gdy drzwi od zimnej pracowni zostały oficjalnie otwarte.

Strach nas ogarnął na widok figury, — ojciec tak się zaciął, takie mu się koło ust porobiły zawiasy twardego milczenia, — że nikt ani słowa...

Chodziliśmy po domu, jak głupi. No, bo to nie był żaden Chrystus, a niewiedomo co? To był jakby nasz ojciec, na pogrzebie mego najmłodszego brata.

Tak.

Mamy to wieść na wózku, — tę figurę.

Przez miasto.

Głupstwo, że przez miasto, ale że przez nabożną ulicę mego prałata. Przed oczy pana służącego Kazimierza, do kościoła, do sióstr i przed mego katechetę!

Ojciec wiezie i stolarz, w sznury się zaprzęgli, ja po chodniku nad rynsztokiem przebiegam, nie o to chodzi! Tylko że układa się to w mojem przestraszonym sercu, jakby ojciec na wózku jechał, a Chrystus, —

rozumiesz ty mnie, — Chrystus w czarnym surducie i w paletocie letnim na ten grudzień, razem ze stolarzem zaprzężony, — jakby ci wioził mego ojca do prałata!

No, dobrze.

Zajechaliśmy przed kościół, skromne dzwonięcie, ciche siostry.

Powiadamy, — właśnie figura przez księdza prałata zamówiona.

Siostry zleciały się, wiadoma rzecz, gołębice do kukurydzy.

Niesiemy, stawiamy, przed ołtarzem cichutko, delikatnie. Ojciec zdjął swoje palto, stolarz rękawami ociera pot z czoła.

Czekamy na księdza prałata.

Już go masz, tup — tup, lakierki po kamieniach posadzki, równo i całkiem zgodnie z mojem bijącym sercem.

Podają księdzu katechecie stół, bo nie widzi ani wysoko, ani daleko.

Wyszedł na stół, — piszę za niego, ale ci przecie za niego patrzeć nie mogę!

Wyszedł na stół lakierkami łagodnymi i schyla się i skurcza i szyję wyciąga. Masz raz, jakby wachał, a drugi raz masz, jakby czarna pękata chmura krążyła po figurze.

Ojciec mój — nic. Dopiero, kiedy katecheta nosem w oczach płaczących figury utknął, ojciec mój:

— Tak mi serce dyktuje, księżu prałacie.

Prałat wyprostował się, szkła odjął i powiada słodkim głosem w powietrze kościoła:

— No tak, dobry człowieku, to jednak nikogo nie zachęca. Odstraszać będzie ludzi — przeraża wkońcu! A to powinno zachęcać... No, — więc jakże?!

— No, więc jakże będzie, — powtórzył mój katecheta, — jakże będzie szanowny panie?

Stało się milczenie, jeśliby można tak powiedzieć, — piorun milczenia, który rozbił odrazu wszystko.

Wracaliśmy do domu z figurą, ojciec wyładował ją na werandę, a gdy tam stanęła, odwrócił się do stolarza, podniósł obie ręce do góry i powiedział:

— Dziękuję. Dość. Ani kroku dalej.

Nie spałem tej nocy. Na werandzie śniegiem zanościło złoconą koronę cierniową i krzyż. I tak jedliśmy gwiazdkę, ostatnią wilję w rodzicielskim domu, bo ojciec następnej nie dożył. Jedliśmy, że nam do chudej zupy grzybowej patrzył przez okno — już nie wiem kto? Może jakiś drugi nasz ojciec? No, — a co?... A może wygnany, odrzucony Bóg?

### III.

#### GDY NAGLE KUJON?!

Ależ ta wilja nasza żołnierska, — coś morowego!

Jeśli brakuje łyżek, — no, to co?

Każdy ma swoją łyżkę za cholewą.

Kapusta, grzyby, kluski i tego maku tyle i jeszcze rydze znowu!

Każdy bataljon obsiadł swój stół w podkowę, — dowódca siedzi na honorowem miejscu.

Przełamać się opłatkiem, — rzecz uroczysta.

A potem niema nic, już nic, tylko serca kolegów i gęsta para nad talerzem a na ścianach sosnowe wieńce.

Jeszcze nie śpiewać, — jeść!

Aż dopiero, kiedy w gotyckich oknach tego refektarza stanie cichy zmrok zimny, tak różowy, fioletowy, — jak bzy, — wtedy już nikt nie patrzy braci, przyjaciół, druhów, ani nawet własnego serca, — tylko huczy kolenda.

Taki śpiew, że aż huk.

I tak ściśle i szczerze razem, — że aż jakby osobno kolenduje tu każdy ze wzrokiem w okna, w ową zimową porę zapatrzonym, — a kolenda po stołach chodzi i bije w szyby, że znów szyby aż drżą.

Uczyniliśmy nad sobą z ramion naszych przyjacielską otokę, jedni z drugimi przepleceni serdecznie w tym

tak udałym śpiewie, gdy nagle Kujon?! Pijany był, czy co, lecz wódki nie było wcale przy tej wilji, — rozgłośnie stare Kujonisko ryczy nagle:

— Hej, panowie sierżanci! Czyż nie widzicie tam, prosto za oknami tych dziadów, co tam marzną na mrozie? Ta co? Wprowadzić ich tu do nas tych dziadogów! Bo niby co? Jak jest święto, — to święto.

Poskoczyli sierżanci, sprowadzają tych dziadków, drżących i wyziębnionych, — robi się w drzwiach historia.

Dziadów owiało ciepłem, okrutnym naszym zgiełkiem, a tu znów panie z miasta, dziedzice z sygnetami — żebracy nie chcą iść.

Nareszcie jeden idzie, pierwszy, w jakichś parciankach białych, bardziej wiejski, niż miejski, kijem przed sobą macha, widać, że prawie ślepy, bo tak tę głowę swoją siwą pilnie naprzód wyciąga i tak słuchem kieruje.

Aż tu Kujon z podkowy naszej już wyskoczył, obrus za sobą ciągnie i rzuca się na szyję dziadkowi ślepemu z takim oto okrzykiem, pełnym wielkiego płaczu:

— Nie bój się nic, tatuńciu!

## NA FORCIE BIAŁA GWIAZDA

Dzień plecie się szary, mokry, po dalekich łakach uganiania mgła, droga leży opuszczona wśród pól, u brzegu Narwi na drutach kolczastych trzęsą się krople deszczu, a rosłe pnie splawianego przez Niemców lasu płyną z wodą bez ustanku.

Wielkie, twarde, sine, — jakby to były pogruchotane kości mojej nieszczęśliwej Ojczyzny.

Chcę sobie przypomnieć dlaczego kazano nam wyjść z Pultuska i przeniesiono nas do Ostrowia? Podnoszę głowę z nad pustej stronicy, szukam w zatartym widoku, — okazuje się, że dokładnie nie pamiętam.

Tymczasem czarna kobyła naszego bataljonu z małym źrebięciem wysunęła się z za węgla i objada pod moim oknem krzaki świeżego bzu.

Zaiste, bywa w życiu, że tyle wstydu dźwigamy na sobie, iż niema innej rady, jak tylko ramiona opleść wokół szyi zwierzęcia, z jego głową porównać swoją i razem, skromnie, wspólnem ciepłem myśleć.

Nasz pułk przeniesiono z Pultuska, bośmy ukradkiem zabili kilku niemieckich żandarmów, oraz dlatego, że po naszej wilji mieliśmy w restauracji awanturę z niemieckim urzędnikiem.

Żandarmów zabiliśmy, bo znęcali się nad ludnością.

Znaleziono ich za miastem, na śniegu, z głowami przebitymi nawyłot bagnetem.

Jeszcze przykrzejsze było zajście z urzędnikiem w restauracji.

Przed oświetlonemi jej oknami, na gościńcu czekały już powozy, mieliśmy zaraz wyjechać w gościnę do okolicznych dworów. Żal nam było rozstawać się, gwarzyliśmy jeszcze przy bufecie, gdy wszedł mały, otyły Niemiec w zielonym urzędniczym płaszczu. Na lince prowadził zgrabną suczkę, jamniczkę.

Przy bufecie zagadał do drugiego Niemca o tem, że wszyscy są teraz tak daleko od swych domów i dzieci.

— Bardzo się tęskni, zwłaszcza podczas świąt Bożego Narodzenia, które są właściwie świętem rodziny. Na jednych konie tu czekają, powozy, a o drugich, równie chyba zasłużonych, nikt nie pamięta.

Pożegnał się z towarzyszem, siepnął oczkami po nas wszystkich i rzekł na progu do pieska: — Chodź, chodź, moja mała Poleczko.

Otworła się nam w piersiach nagła pustka.

Kujon, blady jak trup, zatrzymał urzędnika za złoty guzik od płaszcza i spytał, czy zechce powtórzyć raz jeszcze:

— Ma pan ładną jamniczkę, ale pragnęlibyśmy wiedzieć, co pan przed chwilą powiedział? Zdaje się, że coś bardzo zabawnego?

Urzędnik wyjął z ust cygaro, grubym językiem obliżał sine wargi — i powtórzył słowo za słowem, wyraźnie:

— Chodź, chodź, moja mała Poleczko.

Kujon wyciął mu głośny policzek, potem kopnął w brzuch.

Ze łzami dzikiego wzruszenia biliśmy Niemca po tłustych, wygolonych szczękach, po głowie, — póki nie zaczął krzyczeć, żeby go nie zabijać, — ma przecież dzieci!

Krew lała mu się z nosa i z ust. Tłusty, posiniaczony, leżał w kącie pod piecem i płakał.

Kujon oświadczył, że mamy litość dla jego dzieci, które zapewne splodził z tą jamniczką, — i rozjechał się do dworów.

Na drodze pod wyiskrzonemi gwiazdami i później, już pod dachem w złotym cieple gościny, myślałem ciągle: — Czy na to, by była jego ojczyzna i moja trzeba, by on mnie lżył, a ja, bym go pięściami po głowie tłukł? Czy też może, niech kraj jego przepada i z mojego niech śladu nie będzie, byleśmy mogli mijać się w życiu spokojnie?

Komuż to można powiedzieć dziś, — nikomu!

Komuż można się przyznać, żeby się chciało dzieci tego Niemca wziąć łagodnie za ręce i razem z niemi czekać lepszej pory?

Ruszono nas z Pułtusza wielkim marszem, przez mróz i śnieg dobrnęliśmy tak do Ostrowia, śpiewając po drodze wśród samotnych chat i długich pól, z których wybiegał wiatr niespożyty.

Przybywszy między olbrzymie czworoboki koszar, ustawiliśmy się szarym zwartym murem, naprzeciw muru czekającej tu nas piechoty niemieckiej. Nasi dowódcy wyszli ku sobie i przemówili.

Wielki honor przeżył się w słowach, lecz w głosach zgrzytała nienawiść.

Wykonaliśmy zwroty wojskowej czci, orkiestra niemiecka zaintonowała hymn. Z nieruchomych zamar-

zniętych trąb rwał ryk ochrypli, nadymał policzki i oczy na wierzch wysadzał muzykantom. Stali sztywno, powyżej hełmów na srebrnej lirze czyneli skakał w takt akordów gęsty pęk włosów — godło pułkowej orkiestry.

Ręce nam kostniały od mrozu, wiatr siekł przez oczy, zimno tężało w dziurawych butach, ale, rzecz prosta, staliśmy bez drgnienia, tylko godło niemieckiej orkiestry miotano się w górę i w dół, niby ptak czarny.

Pokazałem to Kujonowi, chcąc mu wytłumaczyć, że tak samo zapewne wygląda przywiązana na wieki do odznak i dzwonek — nasza wojskowa dusza.

Ale komuż to można powiedzieć dziś, — nikomu!

Trzeba się kryć, chować, ostrożnie przemykać, póki się nie spotkamy, jak tutaj ty i ja, w oknie na deszcz otwartem.

Nikt nas z boku nie widzi.

Myślmy tu razem, kochany, koński łbie!

Wrywam ci z grubych warg aksamitnych świeże kiście bzu i mówię prosto do kosmatego ucha, — nikt nigdy nikogo w życiu nie obraził, choć się ludzie potem do krwi o honor bili.

Masz żrebie, tak samo już w życiu cierpiałaś, jak matka każdego z nas. Gdybym umiał spojrzeć głęboko w twoje mokre oczy brązowe, wyznałbym wszystko dzieciom tego Niemca, przebaczyłbym, że po rzece płyną kości mojej Ojczyzny, że on, wróg, do psa mnie porównywa, — pasłbym się cicho wielkim zielonym światem...

Ale nikomu tego nie można mówić, — tylko długo całuję twoje czarne, szorstkie czoło, znaczone białą gwiazdą.



Ponura uroczystość przywitania na wielkiej drodze wśród dawnych porosyjskich koszar skończyła się. Piechota niemiecka odeszła w jedną stronę, my w drugą. Pustym placem gonili znów gęsty tuman śniegu.

Ujawszy się pod ręce, Kujon, Leń i ja ruszyliśmy przeciw zawiei szukać kasyna.

— Tam będzie, bracie! — wołał Kujon — gdzie te chorągwie. Każdy sztandar lubi się zawsze żarcia trzymać. Jak człowiek!

Z któregoś balkonu, w perspektywie rudych budynków, zwieszały się sztywne, na kość zmarznięte barwy narodowe.

Weszliśmy do przedsionka, gdzie już czekało kilkunastu kolegów, zapłakanych z zimna.

— Na co czekacie?

— Bo tam, na górze, jakaś delegacja sterczy. Łyki,— paniusie!

— Boisz się łyków?

— Nikt się nie boi! Ale rychtują przywitanie z ceremonjałem, czekamy na pułkownika.

Przestępując z nogi na nogę, chuchając w zgrabiałe palce, kręciliśmy się po przedsionku.

— Chłopy! — wykrzyknął nagle Kujon — tu są jakieś malunki.

Odkrył je w głębi westibulu po obu stronach szerokich schodów.

Trudno było rozpoznać treść, malunki bowiem pokrywał gęsty szron. Ustaliliśmy wkońcu, że są to olejne freski. Jeden wyobraża jakąś scenę historyczną.

Drugi przedstawiał kobietę.

— Damę musimy obejrzeć szczegółowo — stwierdził Kujon. Ciepłym bliskiego oddechu topił szron, aż ukazała się blada twarzyczka, wachającą czerwoną różę.

— Pokaż dalej!

Już się wyłoniła z zimnego nalotu szyja, ramiona i dekolowane piersi w niebieskim empirowym staniczku.

— Aha! — śmiał się Kujon — może nie ładna?

Zaraz mu przybyło pomocników.

Twardemi pazurami, końcem bagnetu, zdrapywali z obrazu mróz. Nagle robota ustała, bractwo ze śmiechem wtył odskoczyło. Widocznie jeszcze dawniej ktoś zeszpecił był malowidło, rysując pod piersiami staniczka ogromny żywot ciąży, z płodem wewnątrz złożonym.

— Panowie! — wołał Leń — a tośmy sobie godną bohaterkę znaleźli!

— Bardzo godną... — rozległ się ztyłu zażywny głos naszego pułkownika.

— Powinniście pamiętać — nasz dowódca dostojnie ściągał po drodze rękawice, — że kobieta w ciąży równa się rannemu żołnierzowi. Z tego wniosek —

Wniosku nie wyciągnął i ruszył na górę, my za nim trzódka przykładną. Na schodach oznajmił dodatkowo,

że nie zaraz siądziemy do obiadu, a dopiero po przyjeździe delegatów ludności, którzy już — pono czekają w przyległościach pułkowej jadalni.

— Jeżeli mam tych delegatów sądzić według palt — Kujon huśtał zabłocone futra cywilne, wiszące w przedpokoju na szaragach, — to się naszym hołdownikom nie przelewa. Grzbiety wyświechtane, pachy wytarte, boki sztukowane.

Rozkraczony przed gromadką czarnych okryć litował się.

— Pomyślcie tylko, panowie, taki mieszczanin za tym lachem, za kawałkiem sierści lata całe życie po błocie. Żonę z tego żywi, dzieci wychowuje, jeszcze go w rękę calują.

Nadleciał adjutant pułkowy, — że pułkownik już czeka.

Weszliśmy tłumnie do przestronnej jadalni.

Od ściany do ściany ciągnął się długi nakryty stół, a za wysokimi oknami pędziła puszysta śnieżycy. Pułkownik w kącie sali przyklepywał rozdziałek i czcigodnem chrząkaniem gotował się do występu.

Przez uchylone drzwi jadalni widać było w pustej przyległości zgromadzonych na samym środku delegatów. Stali w dwa rzędy, objęci ubogiem światłem zamrznętych szyb, nieruchomi i jakby zasluchani.

Bliżej ściany, brodacz z faworytami, przyszytych na wzór któregoś cesarza, dalej nikły człowieczyna o głowie wydętej, jak kapsułka, dalej w szeregu mały pyszczek czerwony, osypany niezgoloną siwizną, na samym końcu długowłosa, strzelista młodzieniec.

Przed panami „szlachcianka“ w niebieskim kontu-

siku, jakieś chude, żółte biedactwo w bufkach bordo i dama z olbrzymimi piersiami w czarnych koronkach.

Od owego tła dam odcinała się główna zapewne postać delegacji, z czubkiem mokrych piórek na głowie, z bukietem różnokolorowych nieśmiertelników, trzymany pod lewą piersią, na atlasowym przodziku żakieta.

Kwiaty wystrzelały z pod serca sztywno na pokój, wstążka kokardy harmonijnie rozchodziła się w prawo i w lewo. Końce w uważnych palcach trzymali skrzydłowi panowie.

— Słowo daję — syczał Kujon za Leniem, — widziałem takie grupy na wystawie wyrobów aresztanckich. Zbrodniarze z chleba robili i do butelek szczypkami wpuszczali. Zadanie na cierpliwość.

— Proszę panów ze mną.

Pułkownik chrząknął, ordynansi otwarli drzwi.

Weszliśmy.

Delegacja zmartwiała w bezruchu, nasz dowódca złożył ręce na szabli. Kokardy narodowej wstążki wyprężyły się gwałtownie, czarne tło panów okrzepło. Zapadła tak wielka cisza, że słyhać było w ścisłych porывach wichury, jak na atlasowym przodziku trącają się wzajem listkami nieśmiertelniki.

— Ja, jako przewodnicząca tutejszej Ligi kobiet... — jedna ręka wzniosła się, aby odsunąć woalkę, druga jeszcze mocniej ścisnęła kwiaty.

— Jako przewodnicząca... — drżące wargi wchłonęły chciwie strugę powietrza.

— Ja... — Z pod obrębu woalki wypłynęły łzy.

Pułkownik przeniósł zbrojną postać z nogi na nogę, my chórem westchnęliśmy zaszczytnie.

Piórka na głowie mówczyni drgały raz po raz, wolna od kwiatów ręka broniła się przed czymś niezaradnie.

— Otóż mam zaszczyt w imieniu ludności i całego naszego miasta, po tylu latach niewoli naszej, powitać Was panowie żołnierze... Polscy żołnierze. — Oddała pułkownikowi bukiet gestem przełęczonego szczęścia.

Okazało się, że pęk nieśmiertelników przesłaniał sklepioną potężnie wyniosłość atlasowej kamizelki.

— Cięża, murowana — stęknął Kujon, — na ścianie było wymalowane, a teraz w praktyce!

Pułkownik, przyjąwszy wiązanke, kilka sekund przetrawiał w skupieniu wrażenie.

— W imieniu całej ludności i całego naszego miasta witamy Was tu wszyscy jednogłośnie radością — podjęła ofiarodawczyni.

— Ba! — puknął z czarnego tła mężczyzn czerstwy, jędrny głos — przedewszystkiem nie przedstawiliśmy się i panowie nie wiedzą właściwie, z kim mają do czynienia.

Krótkie, drobne kroczyki na podobieństwo stanowczych uderzeń młotka stuknęły o podłogę. Wystąpił naprzód zwięzły człowieczek o ostrym, czerwonym pyszczku, rozdał nozdrza i uderzył nosem przed się:

— Jestem rejent Chmurło.

Podali sobie z pułkownikiem ręce w sposób ważny, niewątpliwy, — niejako historyczny.

Poczem rejent ruchem krótkich palców, niby grab-

kami, wrywał z grupy delegatów poszczególne postacie i — przedstawiał współuczestników.

— Oto przewodnicząca tutejszej Ligi kobiet, pani Aniela, — nazwisko rozleciało się w hałasie.

Odsunęła w górę woalkę i objęła nas ślicznym uśmiechem bladej strudzonej twarzy. Podchodziliśmy, aby ucałować jej rękę w nicianej rękawiczce.

Przewodnicząca kłaniała się, wznosząc pod górę małą głowę, ozdobioną mokremi piórkami.

— Oto starsza nauczycielka, panna Ożarowska Józefa.

Żółte biedactwo w bufkach bordo zjeżyło się.

My też ze swej strony wyzgrzytaliśmy swe nazwiska, pseudonimy i rangi.

— Oto — rejent nie pozwolił sobie przerwać, wypowiedział rzetelnie, jasno, do końca, kto kim jest, co tu robi, ile lat.

Dowiedzieliśmy się, że perfumowana dama z dżemami, jak naboje artyleryjskie, piersiami, w koronki schowanymi, jest żoną rejenta i artystką zarazem.

Mężczyzna w faworytach — wytrwałym praktykiem doktorem, który nigdy i nigdzie siebie nie oszczędza.

Szlachcianka w kontusiku — panną Stanisławą Rawicz, poważną i ofiarną siłą nauczycielską.

Duża kapsuła na kosmatej szyi — aptekarzem, — trwającym niezmiennie w tych ciężkich czasach na zagrożonym posterunku. Długowłosey badył ludzki — aptekarskim pomocnikiem.

— Teraz, gdy o sobie już dokładnie wiemy — stanawszy z boku między nami a delegacją, zwrócił się rejent do przewodniczącej — przepraszam i prosimy.

Delegacja zaczęła całą swą ceremonję od początku. Przewodnicząca Ligi Kobiet ustawiła się znów pomiędzy damami, panowie jeszcze raz sformowali poważne tło. Pułkownik wsparł się raz jeszcze na szabli, my zaś od nowa utkwiliśmy oczy w wielkich oknach, zasnutych bielmem mrozu.

I oto znów popłynął głos przewodniczącej: sięgnął do wszystkich dawnych powstańczych poczyną. Poczyną i zarysów. W zarysach tych, przytłoczonych gęstwą łączników, jak, — wogóle, bądź co bądź, tem niemniej, — drżało zaiste tyle męki! I tyle krwi! Tylu pokoleń! I tyle świętych męczeństw i tium i katorg!

Okazywało się z tej mowy, iż jesteśmy następcami tych wszystkich pokoleń żołnierzy, którzy wśród głodu i chłodu, — borem lasem, — przymierając czasem —

Pułkownik chłonał to pokrewieństwo z niezmierną łatwością.

Z rzewnego powiewu uniesionych dłoni oratorki, ze słów, z drżenia płoszonych ruchem głowy piórek, z całego rzutu gestów i okrzyków dowiedzieliśmy się o beznadziejnych chwilach mroku, w którym, istotnie, dopiero teraz całe miasto — jak jeden mąż —

Ostatnie słowo urwał w połowie rejent głośnym chwytem szczęk: — Miasto nie zgadza się bynajmniej z przewodnią myślą naszą!!

Mówczyni zaprzeczyła uśmiechem tak radosnym! — Szła dalej za swą myślą przewodnią, której nie trzeba mieszać z pozorami. —

Lecz ile razy wzbijała się tokiem słów pięknych ku szczytom entuzjazmu, tyle razy rejent przerywał.

Już mieliśmy ucieszyć się bramą triumfalną, która

nas oczekiwała, siłami miasta całego zgodnie wystawiona, gdy rejent — zbudowaliśmy ją przeznacni państwo w pięcioro ludzi i paru niedorostków!

Jużeśmy mieli żałować, że przez lasy skręciwszy, nie usłyszeliśmy mazurka Dąbrowskiego, którym przy świeżej bramie orkiestra z miejskich żywiolów złożona pragnęła was powitać, — gdy rejent z twarzą, jak osolony befszytk czerwona skoczył przed zbrojne forum:

— Z żadnych miejskich żywiolów, ale zwyczajne zapłacone żydki! Panowie, — bił się w piersi łapczywie — lepsza naga prawda i lepiej już gryźć sercem!

Naga, beczystydną prawdą, rwana żywceem z wnętrzości...

— Witamy was, jak dziady — skwierczał rejent, — nie masz tu żadnych *wszystkich*, żadnej solidarności, a raczej wprost przeciwnie! Macie za sobą w mieście nas, — paru myślących ludzi, — biedną inteligencję. Czyż istotnie myślących? Być może, — dajmy na to. Ale macie przeciwko sobie całe obywatelstwo ziemskie. Łyki kler też przeciw wam. Możecie marznąć, ginąć przeznacni legjoniści, drodzy żołnierze polscy, każdy tubylec wykręci się z tego — jak sianem, — orjentacją! Hasło: Za parawanem orjentacji grosze ciulać — i czekać. Ofiarujemy wam nasz wstyd, nasze upokorzenie. I — to jest prawda!! Tak, — gryzę tutaj sercem!

Przewodnicząca podniosła ręce do góry, delegaci schmurzyli się pokutnie.

Gdy wtem żółte biedactwo w obwisłych bufkach bordo, — w osobie tej znana nam już panna Ożarowska, stuknąwszy palcem w szybę zabulgotało: — Tam jest miasto, które —

Odruchowo spojrzeliśmy w okna. Ledwie w nich widać było gałęzie czarnych drzew, targane ciąglą zawieją.

— Tam jest miasto! — głos przewodniczącej porwał się, jakoby przeciw potężnemu wichrowi, — które zrobiło wszystko! Które już tylko czeka! Którego dzieci śpiewają wasze pieśni!!

Delegaci umilkli, rejent szeroko otworzył usta, aptekarz łysnął mętnem światłem swych źrenic, piersi rejentowej wydęły się.

Przewodnicząca Ligi kobiet splonęła rumieńcem. Jej szare, jak kurz oczy zalśniły. Zaiste, — najzupełniejsze kłamstwo to jedyny ratunek w takich chwilach. Jedyna wróżba prawdy.

— O tak, może znajdzie się u nas parę jednostek — bierniejszych. Ale naogół wszyscy... Jest to małe miasto, nie umie zabrać się do rzeczy, w każdym jednak razie stara się wedle sił. Dość powiedzieć — oburącz składała te słowa pułkownikowi na suche kwiaty bukietu, — że właśnie wczoraj na gremjalnem posiedzeniu miasto postanowiło uczcić przybycie wasze. Zrobimy to, co robią w stolicach, na szerokim świecie, gdzie mają przecież elektryczność, wodociągi, samochody i wszystko. Będzie to... Wenta, — raut, — bal, — lotto. Będzie to uroczystość wielka, wspólna.

Delegaci stali zgnębieni. Każdy przecie pamiętał, jak wyglądało wczoraj owo posiedzenie. Co mówił ksiądz kanonik, co mówił pan Gomółka, prezes Straży Ogniowej. Jak docinali sobie z rejentem. Cóż to dla ziemian, czy dla stronników pana Gomółki było takie przyjście do miasta legjonowego pułku? Niemcy go żywić nie chcą, to nam na kark zrzucają.

— Wenta, — raut, — bal, — czy lotto, — przepiękna uroczystość wspólnego powitania, — wołała przewodnicząca Ligi Kobiet w rzewnem natchnieniu ku zamarzniętym oknom sali.

Pułkownik przyjął sprawę taktownie, wyznaczył bowiem swego zastępcę, naszego kapitana. Potem zaś podziękował, ręce wszystkim uściskał i dał znać ruchem głowy, że widzenie skończone. Uczyniliśmy więc stosowny hałas, delegacja skłoniła się i gęsiego wyszła.

Odprowadziliśmy do połowy schodów. Ciemne cywilne postacie schodziły już do wyjścia, gdy zawrócił ku nam pomocnik aptekarski i, sklepiwszy dłonie nad domniemaną ciążą, szepnął: — Ojczyźniane bujanie!

Już go zdołu wolano, by pobiegł szukać koni.

Stali teraz przed bramą. W śnieżycy nie widać było nigdzie żadnych pojazdów.

Pomocnik aptekarski, krążył dokoła we mgle i hukał rozmaitym głosem.

Pani przewodnicząca Ligi Kobiet Aniela, odłączyła się od towarzystwa i poszła naprzód z doktorem.

— Zrobią do miasta per pedes dwa kilometry — święto im z głów wyszumi. — Nikt nie potwierdził aptekarzowi tego dowcipu, pomocnik bowiem przyniósł całkiem pewną wiadomość względem koni.

— Urzęnęli się z żołnierzami i dawno odjechali.

Wzięto się pod ręce, rejent z żoną, panna Stanisława Rawicz atlasowa szlachcianka delegacji z aptekarzem, w tyle pan pomocnik z panną Ożarowską, która z pod futerka szumiała rozścielonemi zapobiegawczo, ciepłodajnymi gazetami.

Wobec ogromu wydarzenia — że pani Aniela ogło-

siła sobie samowzwańczo uroczystość — nikt na razie nie ośmielał się pisać.

Postawiwszy kołnierze, zmrużywszy oczy, schowawszy ręce w rękawy, małą, szarą gromadką toczyli się bitym gościńcem obok koszar, zawianych śniegiem, potem drogą szeroką, przejętą szumem nagich, czarnych drzew.

Po bokach bure śniegi ciągnęły się nie dalej, niż na parę kroków, resztę sinego widoku rozganiał ciemny wichur.

Rejentowa wciągnęła falę śnieżnego tchu aż do dna dźwięcznych piersi i powiedziała nagle:

— Raut, — bal — czyli bezczelność.

Przyniosło to wszystkim znaczną ulgę. A bo tak, rzeczywiście! Jeszcze wczoraj mówił ksiądz pannie Ożarowskiej, że specjalnie nauczycielki, zależne od Komitetu Opieki, powinny trzymać się zdaleka od wszystkiego, od wszelkich ruchów społecznych, takich, siakich, czy owakich. Co to znaczy w ustach księdza, czy też pana Gomółki — wszystkim chyba wiadomo. Znaczy to, że jak co, — to ziemianie powstrzymają dla szkoły dowóz prowiantu ze wsi — i co?! Płaci się za ten prowiant, lecz jeśli powstrzymają...

— To nasza dobroczynność zdechnie! — Rejent skoczył parę kroków naprzód i zawołał swym głosem publicznego zgromadzenia znanym, jako nieubłagany — hola, moi drodzy państwo!

Gdy zrównały się obie partje, rejent tym samym tonem: — Jak pani mogła nadużyć naszego zaufania?!

Piórko kapelusza zwiesiło się. Przez zaśniewioną woalkę nie było widać twarzy, tylko parował oddech.

— Cóż moi drodzy, — należy się im święto. Temu wojsku powstańczemu — i naszej smutnej biedzie. Zawsze w takiej szarości żyjemy! Kiedy pan mówił tam rejencie, u nich w pułku, czułam, że muszę panu przeczyć. Bał, loterja fantowa czy raut? Nie o to chodzi! Ale nareszcie, — że z naszej smutnej biedy powstanie jakieś święto!

Pani Aniela cofała się ku brzegowi szosy spłoszona swą śmiałością.

Wtedyto panna Ożarowska, wyciągnąwszy ramiona ku chmurom stalowego mroku krzyknęła:

— A jednak w pułku popełniłaś pani kłamstwo, które wytłumaczyć sobie można tylko chyba odmiennym stanem. Jeżeli tak, to owszem! Wiadomo jeszcze z fizjologii! Jeżeli tak, — to bał, czy raut, czy lotto —

Pani Aniela ukrywając twarz w dłoniach zaśmiała się porywczo. Dziwnie uroczym przelotem śmiechu, gdyż olśniła ją myśl daleka, cicha, prosta, tak gruntownie wiadoma: Uroczystość i święto są już dla ciebie, — moje przyszłe dziecko! Chociaż niema cię jeszcze. Nim nastaniesz, — już od teraz, zawczasu...

Przewodnicząca Ligi Kobiet przypadła z rzewnym płaczem do kupy kamieni.

Doktor przyłożył dłoń do pochylonych piórek i powiedział nieśmiało: — Teraz widzicie państwo!

Aptekarz postawił kołnierz jeszcze wyżej. Wszyscy panowie oparli się na laskach, otulili szczelniej i, tyłem odwrócenii do wiatru, czekali.

— Będziesz to pani miała urządzone, — zapiał nagle rejent.

Nikt nie spodziewał się podobnej sceny. Laska re-

jenta stukała o kamienie, głos mu się burzył. Małe nóżki tupwały raz za razem. — Będziesz to pani miała urządzone!

Rozstali się w milczeniu przy aptece, w świetle zielono-czerwonych kul szklanych, za którymi widać było na półkach, szeregi białych słoików z czarnymi napisami.

— Ładnieby człowiek wyglądał w życiu, gdyby nie laciła! — Stanisława wiedziała, jak takie powiedzenia działać mogą na towarzystwo dojrzałych ludzi. Powiedzenia takie przynoszą odprężenie: A czegoż bać się jeszcze, jeżeli nawet rejent stanął tak całkowicie po stronie Anieli?!

We dwie z Ożarowską wzięły panią Anielę pod ręce i z okrzykiem — damy sobie radę — ruszyły w swoją drogę. Przechodząc obok niemieckiego sztyldwachy, który, niby niedźwiedź w pikelhaubie, łaził w futrze przed budynkiem dowództwa, zaintonowały „Choć burza huczy wokoło nas“, nie za głośno, w miarę, lecz za to na dwa głosy. Stanisława sopranem, Ożarowska pięściami „drugim“, tak wierzyły teraz w rejenta i w całą sprawę. I w tę radość, która z takiej uroczystości wyniknie! Oto życie! Niby w małym miasteczku, — a jednak wre.

Bo proszę:

Przed południem oficerowie, firmament bohaterstwa, — popołudniu rejent, mający w swoim szlachetnym wybuchu przy kamieniach coś z Matejkowskiego Skargi.

Gdy już minęły kawałek gołoledzi i zeszły z góry, znalazły się w cieniu szerokiego gmachu dwupiętro-

wego, z którego, niby czarne grube węże, wily się po śniegu między drzewami zaplątane drogi.

— Lubię z pomiędzy drzewek patrzeć na naszą szkołę, — westchnęła panna Ożarowska. — Mówcie co chcecie, wojsko ma swoje piękno.

Sentencja ta przejęła wszystkie trzy panie smutkiem. Dłaczego, niewiadomo, jednak przejęła smutkiem. Czasem wypowie ktoś tak w życiu coś małoważnego i nagle dech w człowieku zatrzymuje się z niespodziewanej troski.

Bez żadnego powodu! Lecz minęło to odrazu, gdy tylko weszły do mieszkania i zaświeciły lampę. Tu zaraz w tych dwóch pokoikach ukuły cały plan!

Cóż za robota! Zorganizować młodzież, skautów. Ugłaskać księdza kanonika, przez agentów Rady Głównej Opiekuńczej trafić wreszcie do ziemian.

A pan Gomółka, czyli żywioły miejskie?

Ze strachu i dla dodania sobie odwagi otwarły jeden z ostatnich słoików konfitur.

Cóż za robota?! Chóry młodzieży. I jakieś deklamacje, — śpiewy. Tak, cała część rautowa!

A znów jeżeli wenta, to zbiórka darów, sprzedaż biletów. Skąd na to lokal, gdzie?

— Więc — nigdzie?

Chyba tylko apteka!

W aptece, — nie wypada. Był tam naprawdę śliczny pokój z rogami jeleniemi — apteka miała przecież firmę „pod jeleniem“, — ale to wszystko dobre było do czasu tego smutnego skandalu... Siedzieć teraz na meblach, na których kiedyś, lub może parę godzin temu oddawano się znowu całkiem niskiej rozpuście?!

Aptekarz cieszył się (takich ludzi być może, że to cieszy) opinią najgorszego Don Juana. Widać, że obcowanie z chemją, czy też z lekami, czy też ciągle zapachy wywarów, oraz ziół — rozluźnia obyczaje ludzkie. Jakże inaczej tłumaczyć takie sprawy?!

— Główna kwatera u nas!!

Panna Ożarowska prosiła Anielę o cofnięcie zamiaru tego.

I panna Rawicz Stanisława prosiła o to samo. Na litość boską!

O szkole, jej lokalach decyduje, może rozstrzygać tylko Komitet Opieki. Tak, pod grozą dostarczenia, lub też nie dostarczenia prowiantów. W komitecie — ziemianie, ksiądz, którzy mają całkiem odmienną orientację. Wróble na dachach wiedzą nawet o tem. Więc pocóż prowokować?

Ale to tak z Anielą:

Stoi przy oknie, ręce trzęsą się jej z radości, — jak dziwnie smutna potrafi być ta radość?!

Stoi przy oknie i powtarza:

— Wszyscy się na to zgodzą. Bo cóż my? Jesteśmy sobie tylko, — jak ptaki na gałęzi.

Skąd takie powiedzenie w tak praktycznym wypadku?

Tymczasem powiedzenia te o gałęzi i ptaku, czy też to drugie, — aby się powodować psychologią myszy, ze wszystkich stron podgryzać cicho, — przekonały reagenta i jego żonę, przekonały doktora, aptekarza, — nie mówiąc już, nie wspominając o młodzieży!

Już fanty nadpływały (między innymi bożek budda z agatu rzeźbionego od pana aptekarza). Fanty małe,

ubogie, lecz świadczące wyraźnie o ofiarności tych właśnie biednych ludzi, którzy na nic już przecież nie mają środków.

Pani Aniela ośmielona powodzeniem wśród swoich, jęła zataczać zagony coraz szersze wśród obcych. Nawiazała rzecz z pułkiem.

Pojechała tam furgonem wojskowym, który wracał z brukwią, a wieczorem miał znów jechać na pocztę. Skierowano ją źle, zmierzch już zapadał, zamiast do kasyna, trafiła do koszar oficerskich.

Wyznaj się w ciemnych, czarnych korytarzach, roz-wleczonych po ogromnym budynku.

Tu jakieś drzwi i śnieg, wszystko tonie w zimowym księżycu a tu znów schody i kręte korytarze, nieoświecone, ciemne, wciąż szumiące przeciągiem.

Spotykała po kątach i w pyle zakamarków jakieś dzieci zbłąkane, czy przyczajone właśnie? Jakże tu przyszły?

Grzało się to biedactwo w wystyglę ciepłe murów, rozmawiając ze sobą trwożnym szeptem.

Co mogła im dać jeszcze, to dała: Parę ostatnich groszy. Lecz jakże wobec takiej bezdomnej nędzy wygląda projekt balu, wenty?

I jeszcze coś innego! Jakże tu czekać, spodziewać się swego małenstwa, gdy oto, — cóż się dzieje teraz na świecie z dziećmi?!

Jęła uciekać korytarzami wkoło, przez pierwsze piętro. I przez drugie, — jakby kuszona srodze ciemnością, nędzą, współczuciem i bezbrzeżną żalością.

Pułkownika spotkała całkiem przypadkowo, na dole,

już przy wyjściu. Zaśnieżony, w mundurze, cały szronem wysrebrzony wyglądał chyba, jak zbrojny bożek mrozu.

Przypomniała mu co prędzej ów raut w mieście. Wielki entuzjazm wszystkich obywateli. Wszyscy, wszyscy już śpieszą, z czem mogą, — może i pułk raczy się przyczynić jakowymś fantem?

Wielki wstyd ją ogarnął: Taki był los żołnierzy tych! Nie dość, iż wycierpieli tyle, jeszcze teraz musieli sami wspierać swą sławę jakiemiś tam darami!

Pułkownik przyobiegał, pani Aniela rozstała się z nim grzecznie bardzo a potem szła ogromną pustą drogą do miasta.

Czy warto? Wszystkie trudy i samotność na świecie i nadzieja pod sercem niesiona, — czyż rzeczywiście warto?

Lecz kto może zaprzeczyć, gdy wszystka krew i wszelki smutek odpowiadają człowiekowi zgodnie: Warto ci, — zawsze warto!

Wszystka krew, wszelki smutek i warto i to się stwierdza zaraz na drugi dzień, — na jawie!

Siedziały sobie we trzy, książkę sznurową z zaofiarowanemi darami sprawdzały, gdy oto na podwórzu szkoły rwetes — i co?

Krowa! Żywa, prawdziwa, bronzowa, z rogami owiniętymi żołnierską okrętką, ordynans list od pana pułkownika doręcza —

— Krowa na fant dla waszej wenty!

— Gdzie ja cię tu pomieszczę, moja ty pani krowo! — woła pani Aniela.

I cóż tu więcej mówić, gdy taki grom z jasnego nieba spada w postaci krowy, czy nie istna kolenda!?

Usta się im nie zamykały. Bo tak: Wśród fantów, na afiszu można już zapowiedzieć prawdziwą, żywą krowę. Niebywała atrakcja. Ma swoje prawa wielki świat, — ma swoje prawa Polska. W Madrycie, czy Brukseli, czy w Kopenhadze ludzie losują auto, — u nas, pod okupacją, taka krowa znaczy to samo, co na szerokim świecie aeroplan.

Odprowadziły ją do stróża, do obórki a panna Ożarowska zauważyła wręcz, że takie mleko, dajmy na to, ściśle prosto od krowy przydać się może zawsze sterym płucm nauczycielskim.

Powróciwszy od stróża, — noc już stała na niebie, wyiskrzona wśród gwiazd, — obie nauczycielki i panna Ożarowska i Stanisława Rawicz zatrzymały się po drugiej stronie stołu.

Chwyciły się pod ręce.

Ożarowska patrzyła żałośnie na deseń cerat. Stanisława w ciemną zmarzniętą szybę, po której leciał syпки dreszcz mroźnego wiatru.

I oto tutaj, teraz właśnie rozplakały się obie. Ze strachu. Gdy bowiem nadesłanie tej krowy przyobleka już sprawę rautu w cechy wszelkiej pewności, — wiadomo, co nastąpi! Pan Gomółka i ksiądz i wpływowi ziemianie przeciwstawiają się tej orjentacji. A znów ponieważ my, zaczęłyśmy wszystko, więc nas usuną stąd, ze szkoły, — nas w pierwszym rzędzie!! Ta krowa właśnie — doleje oliwy do ognia.

Na to pani Aniela objęła je z wielkimi łzami w oczach.

Tak serdecznie!

Bywają łzy — i łzy. Są smutne i radosne. Jednego

radość strachem wielkim przejmuję, — drugiemu radzi składać jeszcze nowe ofiary. Pani Aniela przyznała wszelką słuszność obu koleżankom.

A wobec powyższego już, zaraz teraz, już od dziś, od tej chwili, natychmiast opróżnia lokal urzędowy, — wasze skromne mieszkanie jest mimo wszystko lokalem urzędowym.

Przenosi się na strych. Ze wszystkiem. Ze wszystkimi fantami i z całą księgowością. Aby nie było tu u was żadnej polityki, — skoro to polityka i tak mają zrozumieć sfery ziemian, czy ksiądz — uczczenie bohaterów.

Dopiero na poddaszu rozplakała się pani Aniela. Sama przed sobą, w ścisłym chłodzie samotnych ścian z skromnego szczęścia tej ofiary.

Lecz właśnie dzięki temu z jakże otwartem czołem stawać już mogła była potem. Czuła dobrze że teraz przekona już każdego, nie trzeba będzie chyba nawet tak wiele rozprawiać. Wystarczy być i patrzeć na przełomowe gremjalne posiedzenie, w tymże lokalu szkoły w sali konferencyjnej.

Wystarczy być.

Tu oto siedzi ksiądz. Niech sobie siedzi. Rozprawia bardzo gęsto. A niech tam sobie mówi.

Szeroki czernią lśniący tors sutanny unosi się miarowo, — głowa doszczętnie łysa polyskuje, jak utoczona kość.

Tuż obok pan Gomółka, prezes straży ogniowej, tłusty, wielki, zażywny, z uszami, jakby wylepionymi z smalcu.

Dokola księdza, oraz pana Gomółki, — ziemianie. Ziemianie w długich butach i w gołąbkowych spodniach.

Lecz naprzeciw pan rejent! Czerwony, głośny, srogi. Niech mówią, o czym chcą, — to wszystko jedno.

Pan rejent o orjentacji z mocarstwami środka, — czy razem z koalicją?

Niechże będzie i tak.

Pan Gomółka o niczem, — same tylko jęki. A ksiądz wyniosłem słowem, jak przez wodę, bibulkę, czy jedwab przeźroczysty, — z początku coś o anonimach...

Pani Aniela dostawała owe anonimy nie od dziś; z groźbami, z wymysłami, — pocóż zwracać uwagę na tak pobieżne głupstwa?!

O anonimach grożących wciąż pożarem na wypadek oddania szkoły pod te jakieś zabawy. Nakoniec o czemś innym jeszcze ważniejszym chyba, z czego bezspornie wynikało, że legjoniści sami podszczuli miasto, wciągają ludzi w politykę i zmuszają — do służby Niemcom. Czyż nie nazywa się to — ostatecznie — terrorem?!

Tu znów rejent z swem sercem gryzącym, w stronę obywatelstwa, iż będą zawsze ślepo po stronie Rosji.

Jedni i drudzy z straszną obrazą, z białym blaskiem w źrenicach, ze łzami dzikiej pasji brali się już do krzesel, inni znów wyjść pragnęli coprędzej z okrzykami:

Oto skutki niewoli!

Z okrzykami: — Słudzy, nikczemni słudzy, — prowokacja!!

Jak się to stało, że przekonała wtedy wszystkich? Pani Aniela nie tym zaiste argumentem dopięła swego, że pułk krowę nadesłał.

Mało to mieli krów ziemianie po oborach? Dosyć jeszcze, och dosyć!

Przekonała tu wszystkich tym swoim krzykiem, — strasznym. Jakoby ptasim.

Ptaki wołają tak, po puszczech wysoko, nad wodami z wiosną. Tak krzyczą.

Krzyki, głos i nadzieja i łzy i takie krwawe przerażenie w oczach.

Zrzuciwszy odpowiedzialność przed władzami i miastem, ksiądz zaśmiał się gorzko — i ustąpił. Wówczas ziemianie wydali ciężki oddech ulgi, Gomółka wsadził ołówek za ucho, pani Aniela kornie pochyliła plecy.

Oczy jej, w okno wlepione, błyszczały ogniście. Czysty błękit wieczoru rozwijał pierwszą zorzę w swem wnętrzu nieuchwytnem.

Aby się wywdzięczyć za taką iście obywatelską ustępliwość odprowadziła kanonika na probostwo. Och tak, — manifestacja zgody dwóch światopoglądów.

Niech całe miasto widzi!

Byli w połowie drogi do plebanji. Obwieszone sopłami lodu domostwa wznosiły się pod górę, ku rozległym więzaniom kościoła. Śnieg błyszczał na łukach budowli.

Pani Aniela patrzyła w górę na niebo pośród puchów zachodu rozwiane, na rzekę, której mały kawałek widać było po tamtej stronie miasta.

Ksiądz przez drogę pouczał cierpliwie. Jeszcze raz przypominał sprawę listów anonimowych, grożących ogniem, teraz, na taki mróz. Gdy wszystko pozamarzane wszędzie. Wszystkie studnie.

Skąd o tych listach wiedział?

Wiedział.

Jeszcze raz radził jakieś opamiętanie — może?...

Stali na schodach plebanji, wśród rzadkich czarnych grabów, proszących śnieżnym puchem.

Kanonik westchnął nagle:

— A zresztą bo ja wiem? Komitet i tak już postanowił wymówić pani miejsce.

Uniosła ręce, jak je podnoszą ci, co się poddają w bitwie.

Ksiądz już otwierał drzwi.

Wcale się nie poddała, — skądżeby znowu?!

Szła z powrotem do szkoły, mrucząc uparcie: — bo nie mam męża. Nie wiem nawet gdzie jest, — nie wiem nawet, czy żyje?

A równocześnie zdało się jej, że słyszy, jak poprzez te wyrazy przemyka jakiś poryw tak szalonej nadziei!

W rozterce, smutku wstąpiła na powrotnej drodze do apteki. Bez miejsca i bez chleba. — Czyż nie to właśnie spycha kobiety na progi jelenich pokoików?

Aptekarz oddał ważki pomocnikowi, roztrącił chłopów, którzy poprzez trupie promienie karbidowej lampy, kurzyli machorką i popchnął rzadkiego gościa do wiadomego pokoju.

Dała się posuwać jak mebel.

— Myślę, że przyszła pani po jakieś fanty? Oczywiście. — Był w białym kitlu w prawo i w lewo przyskał piskliwym śmiechem. — Myślę, że warto poprzeć taką inicjatywę: Vivat wszystkie stany! Dzień nowej ery w takiej dziurze, jak nasza, — nie byle co!

Śmiał się i cieszył, tak prędko i dwuznacznie.

Panią Anielę ogarnęły nagle przeczucia, — złe, bardzo nieszczęśliwe.

Pan aptekarz postanowił dzień nowej ery zapisać odrazu z miejsca wyborową wódeczką. Nie był to przecie alkohol w znaczeniu pospolitem, lecz wywar naukowy, osnuty na zasadach chemji.

Pani Aniela wypila dwa kieliszki.

Aptekarz pięć.

Myślała tu, w jelenim pokoiku — o mężu swym. O mężu i o dziecku, — o tych sprawach. O bezdomności swojej. Oraz, — że tak powinno być kiedyś i teraz znowu i jeszcze, może zawsze w życiu kobiet: Że męża ci zabiorą, nie wiesz gdzie się obraca ten kochany człowiek a sama obarczona jesteś nowem życiem i w imię tego życia, w imię prawdy, radości, chcesz działać, wtedy zaś znów bez dachu nad głową znajdziesz się na ulicy i tu wódeczkę nagle pijesz nad strasliwą przepaścią.

Gdy aptekarz wychodził po drabince, gdy potem schodził, trzymając w ręku duże pudło, w którym chrobotały ognie sztuczne, przechowywane z myślą o jakimś niezwykłym wydarzeniu —

— Może teraz nadarza się nam właśnie niezwykle wydarzenie?...

— Tak, tak, jesteśmy tylko słabym kruchym pomo- stem, — mówiła pani Aniela, przytykając powieki, — po nas zaś przyjdą przecież inni. Nowe pokolenie, które skruszy okowy wszelkie.

Musiała to powiedzieć, by nie wybuchnąć płaczem. Płaczem nadziei, — tak srodze wystraszonej.

— Wszelkie? — krzyknął aptekarz. Zasmucił się i dodał: — A cóżbyśmy robili tu bez oków, droga pani?!

Wyciągnęła ku niemu obie drżące ręce.

Coby to miało znaczyć,— nie wiedział. Lecz uśmiechnął się bardzo łagodnie i orzekł, że z pudłem owych sztucznych ogni odprowadzi ją chętnie do szkoły.

Miała wrażenie, że może raczej żartuje złośliwie, gdy zatrzymawszy się na lodzie zmarzniętej przed szkołą sadzawki wskazał oświetlone okna.

— W tych oknach, pani Aniello, — rzekł — świeci pani serce.

Cóż serce?! Święto, które należy się wojsku powstańczemu i szarej biedzie tego miasta — i komu jeszcze?

Komu? Pani Aniela czuła to w sobie ciężarem i cierpieniem i każdą przypadłością swego stanu, ale zarazem, jakoby smugą nieustannej jasności i głosem najcichszego proroctwa: — Że i ty, synku bliski, jakże teraz najbliższy, bierzesz już udział w takim oto uczynku, choć cię na świecie jeszcze nie ma.

Dlatego został do ścian sali balowej przybity, sznurkami utwierdzony gaj, czyli młode sosenki, żywica woniąca. Dlatego wieńce papierowe, czerwone, białe, zielone i niebieskie tworzyły gwiazdę pod sufitem konferencyjnej sali.

Dlatego zapalono pięćdziesiąt świec z tak wielkim trudem uciulanych i wszystkie piękne lampy od wszystkich sympatyków na ten wieczór zebrane.

I dwie ogromne szynki i ileż cieleciny, — kosze pełne pieczywa, na schodach zaś dywany, — na schodach cichy zaszczyt.

Cały raut, więc chór męski i żeński, deklamacje, śpiewy solowe i orkiestra.

Pani Aniela jako przewodnicząca kłaniała się u wej-

ścia pod wielką narodową kokardą z sztywnego płótna w jedwabnym swym przodziku, błada i uśmiechnięta. Czyż to nie wzniosłe chwile?

Uroczyste: Zajeżdżają karety z ziemianami, — obywatelstwo ziemskie, — karety lamowane światłem księżyca i czarny zygzak biczów w złotym kwadracie okien wielkiej sali.

A tu znowu orkiestra, duże złocone trąby, — pamiętać, by muzykanci mieli dosyć piwa, — muszą tak dąć! Zabiegała ze wszystkich stron.

W ciężkich trąbach wojskowych ryczał walc, — miano tańczyć, lecz nie kleiły się płasania, mimo, że pani Aniela Ignęła niejako sercem do podeszwy każdego z tańczących.

Numery rautu nie znalazły żadnego aplauzu. Ani „Za Niemen hen precz“ na dwa głosy przez Ożarowską i Stanisławę Rawicz, ani sam Grób Agamemnona przez panią rejentową deklamowany tak wspaniale, ani „Żydek w aptecce“ humorystyczny numer, naogół niezawodny zawsze, przez pomocnika aptekarskiego odrobiony.

Wszystko wsiąkało w widzów bez żadnego wrażenia.

Gdyż między gośćmi nie dało się wytworzyć żadnej, — żadnej wspólnoty.

Przepaść, — niezaszypana przepaść.

Oficerowie jakby po jednej stronie, otoczeni młodzieżą, podziwem, śmiechem, szczęściem, — po drugiej, tuż przy drzwiach w sali konferencyjnej, — w płaszczech... W płaszczech, w futrach, w okryciach — ziemianie.

Tuż przy wejściu. Ziemianie i stronnicy pana prezesa Gomółki.

Byli tacy, co kaloszków nawet zdjąć nie chcieli.

Ową przepaść zapelnąć mogła chociażby sobą samą pani przewodnicząca Ligi Kobiet. Stawała tu z uśmiechem śmiałym, żywym ofiarnym, — jak chyba stają ludzie niewinnego serca pod murem rozstrzelania.

Lecz nie — i nie — i nie!

Ziemianie ani drgnęli.

Pan Gomółka patrzył krągłym swym okiem ponad czuby sosenek.

Ostatni takt muzyki pękł, — niby na zawsze już w świetle wiszących lamp.

Wtedy to pani przewodnicząca Ligi Kobiet zdobyła się na słowa, których brzmienie przejęło ją rozpaczą, wstydem i tak ogromnym strachem!

Że będą zaraz fanty. Rozmaite i drogie i nawet krowa do wygrania!

I inne fanty.

Tańsze, droższe. Przedmioty, lub też nawet dobytek. Mienie.

Nawet kilka pierścionków złotych. Albo też — branzoletek.

Tak!!

Skloniła się uprzejmie, jakże bolesnym chłodem wskroś przejęta. Poszła po owe kosztowności na górę — tam, na strych.

Do powrotu swego poleciała pani Aniela młodzieży ożywiać tu zabawę.

Mali skauci w cieniu sosenkowego gaju grali w scyzoryki. Słychać było stuk ostrzy na desce, — nie jest

to jednak odpowiednie wypełnienie rautowej przerwy. Na szczęście ukazały się teraz, w tym właśnie punkcie programu dziewczynki w bieli, jako wróżki z rozpuszczonym włosiem, młodziutkie uczennice panny Ożarowskiej, rozprzedające losy.

Plotło się to niesporo, przydługo, — gdy nagle jęk ogromny wstrząsnął całym budynkiem. Jeszcze nie przestał huczeć, — a już z środkowych schodów wypadła wprost na salę gromada pomywaczek, bab, dzieci, drabów, — cała miejska biedota, grzejąca się u światła tego balu.

Z wrzaskiem ogromnym: — Pożar, pożar!

Jedni przez drugich wołali, — że ogień podłożony, że był naftą podlany, od oficyn, od tyłu szkoły.

Huk orkiestry, zbiegającej z estrady przygłuszył te wołania, wszystkie okna zalkały bitem szkłem, lampy zionęły w górę czarnym promieniem kopcju, przybite do ścian sosny jęły padać na tłum, we wszystkich drzwiach na śnieżną noc otwartych gniotła się ciżba ludzka, — ziemianie pierwsi, — jako że byli przecie w futrach, niby już od początku gotowi do tej drogi.

— Wody, — krzyczeli teraz w salach i na podwórzu i przed szkołą, ku siwym śniegom, na czarne wyslizgane drogi, ku małym, mętnym oknom zmarzniętego miasteczka.

Wojsko w tych razach zawsze wszędzie na świecie — pierwsze.

Tu Kujon na podwórzu szkoły krzyczy: — Pierwsza Kompanja do mnie! — tu już dwurząd wyrzutowany, — nic im śnieg, nic im ogień i dym, — tu już podoficerowie porywają drużyny i już z pierwszego piętra,

z parteru, ciskają wdół na ziemię cały szkolny dobytek i różne graty, prywatne zajdy — wszystko.

Ratują, co się da!

Wejściowe drzwi runęły wtył, gorący blask przedzielił noc na pół aż za sadzawkę, aż po dalekie domki za tamtą stroną drogi.

W głównej klatce schodowej, niby puszyste włosy kłębiły się płomienie.

A wśród dalekich domków przebudził się już płoch.

Tu żołnierze wołają, — studnia! Studnia zamarznięta, — a tam z za górki, jakby kto sypnął kupą starych szmat, — już lecą środkiem gościńca mieszczuchy i żydkowie.

Dzwon z wieży dzwoni głośnie na alarm.

Noc trzęsie się od dymu, czarne chmury podbite luną rozpelzają szeroko aż za kościół.

Wody niema, studnie pozamarzane, straży ogniowej żadnej znikąd nigdzie nie widać.

A tu tymczasem dach szkoły trzasnął nagle i bryznął w czarne niebo czerwonymi różgami płomienia. Tłum ugiął się i jęknął serdecznie, matki z dziećmi uciekać jęły, długowłose dobre wróżki i skauci jeszcze raz przedrzeć się usiłowali przez kordon żołnierzy Kujona.

Z koliska ziemian i matadorów miejskich pana Gomółki wyskoczył ksiądz kanonik. Palcem w stronę ognia ukazując wołał:

— I oto macie dopust i oto macie palec boży! Sam Bóg karę swą zsyła na tych, którzy przeciwko Jego woli działają. Na was spada ten ogień!!

Nikt nie pamiętał, kiedy w obliczu księdza znalazł się pan rejent, ale wszyscy widzieli, jak rejent właśnie chwycił księdza za obie ręce, wstrząsnął nimi i krzyknął:

— To wasza sprawa skrytobójcza ten ogień! Już dawno szykowaliście się na to! Stąd wszystkie anonimy, — taka straszna nikczemność!

Byliby się pobili, lecz skoczył między nich obrotny urzędnik, czy oficer niemieckiego etapu. Kotłowali się teraz we trzech w ceglastej lunie ognia, — ksiądz, rejent, — potem doktor, aptekarz — potem nawet pan Gomółka wrzeszcząc ku sobie:

— Zdrajcy, zbrodniarze!!! Sprzedawczycy!

Rozgarniał ich zaś niemiec, wrzeszczący gardłowym głosem wciąż jedno i to samo:

— Protokoll, — do Kreisamtu, — Protokoll na wszystkich!!

Nagle wrzask kłótni zmilkł. Wszystkie głowy zadarły się ku jednemu oknu. Nie spuszczaając go z oka, ciżba kruszyć się jęła, pośpiesznie wtył odpływać, przez zamarzniętą sadzawkę ku szkarpom, opłotkom, ku czarnej drodze, wiodącej już do miasta.

W otwartym oknie drugiego piętra ukazała się pani Aniela.

Pośród ramy okiennej biały przodzik zdawał się świecić, niby metalowy cyferblat zegaru.

Widać było wyraźnie, jak z dymu wyłoniły się jej białe dłonie.

— Czy widzisz tam, na drugim piętrze?!... — wrzasnął Kujon do Lenia.

Leń spokojnie, z papierosem w zębach podszedł pod balkon. — Już kazałem, zaraz dadzą mi drabinę.

Różowe dłonie znów wychyliły się z okna.

Kujon trzymał, Leń szedł na drugie piętro. Jak zawsze: elegancki, spokojny, lekki. Doszedł, — chwycił panią Anielę za ręce. Na groźnej wysokości oplątani sznurami iskier, jakgdyby coś radzili uprzejmie. Gdy oto Leń rozkrzyżował ramiona.

Długą chwilę u szczytu drabiny, nito rozdęta bania trwał atlasowy przodzik. Podtrzymywany ramionami Lenia, jął się zsuwać, pomalutku, ostrożnie, w coraz głośniejszym krzyku zdrętwiałego tłumu, — po jednym kroczku, — po jednym stopniu, coraz niżej i bliżej.

Gdy stanęli na ziemi, pani Aniela zachwiała się i padła pod drabiną przy balkonie.

— Nosze, panie sierżancie, — rozkazał Leń.

Więc posadzili ją na owych noszach, złożyli, już mieli ruszać, gdy Niemiec drogę zastąpił z notesem: z pytaniem o nazwisko, — protokoll dla Kreisamtu.

Pani Aniela wykrzyknęła nazwisko swe, z przerażeniem, ze zgrozą, — jakby dla ostatecznego sądu. Wygłosiwszy poczęła płakać i skręcać się i bić dłońmi o brzeg noszy i znów wołać, jak to sama uciekała już przed ogniem, który gonił już wtedy sienią pierwszego piętra. Pragnęła uratować fanty, drogę miała napowrót odciętą, — lecz jakaż, jakaż tutaj droga?!

— Mówić wyraźnie, wyraźnie, — wołał Niemiec, — mówi się dla śledztwa!

Przyskoczył ksiądz i rejent i aptekarz i niemiec i nawet pan Gomółka. Lecz oto zamiast pytać rzucili się na

siebie znowu. Niemiec — protokoll, — wrzeszczał, — a tamtym jakby mowę odjęło...

Cóż mogli teraz mówić przy Niemcu?!

Miotali się ku sobie zczepieni ramionami, charczący, zgrzytający, jakieś potworne, przyduszone słowa sycający.

Panią Anielą wstrząsnął jęk, — doktor pochylił się, znów odskoczył, wołając — rodzi!

Na to znów Kujon z szablą obnażoną i z wrzaskiem:

— Za nosze, stare dziady i nieście ją do miasta, — wont! Nie stać mi tu na drodze, — wont!

Tak zagnał ich do noszy i przed siebie i tak ich wygnał poza obręb pożaru.

Posuwali się z noszami pod górę. Przy głowach ksiądz i rejent, w nogach doktor bez czapki, aptekarz w barankowem futrze i pan Gomółka a przodem pan pomocnik aptekarski, a za nimi wciąż jeszcze ryk Kujona: W-o-ont!

Ach, nim się dostukali do apteki!

Nareszcie wyłonił się stróż, z za węgla wyszedł jeszcze jakiś drugi.

Wadząc o klamki, butle, wnieśli chorą do jeleniego pokoju.

Zaraz doktor zaczął tu pluskać ręce w wodzie i szczekać swoją medycyną.

Dostojnicy uciekli z apteki.

Dochodził ztamtąd wciąż ten sam cichy, zgłuszony jęk, po czarnej drodze szare pasma szronu przebiegały bez szmeru.

Wdole, na placu rósł wielki kwiat płomienia.

Pod samą szkołą coś się znów przytrafiło. Między

ławkami a stosem gratów i rupieci, jakoby nagle wyni-  
kło całe mrowisko iskier, świateł, ognistych szpilek, kó-  
łek, drobnych centków, serduszek.

— Teraz im ognie sztuczne wybuchają — zaśmiał  
się ksiądz zjadliwie.

Rejent zacisnął pięści. Zawył prawie. Stali do siebie  
tyłem, zmordowani, spoceni, drżący okropnym gniewem,  
pogardą i obrazą.

Gęsta grzywa pożaru rozczesała się wzdłuż całego  
dachu, z czarnych okien wynikał ogień, niby krwa-  
wiące ciało. Wszystkie ściany szkoły obrosły kępami pło-  
mieni, z których pędził sznur iskier w głąb nocy pod  
rozegnane chmury.

Dzwonek drzwi aptecznych jęknął żałośnie, zdyszany  
pomocnik w długim białym kitlu wyskoczył aż na  
drogę.

— Ho, ho, ho! — dyszał wystraszony. — Musi  
być ból!... Aż wszystko trzeszczy! Na tę intencję mo-  
że?... — wyciągnął z kieszeni butelkę i kieliszki.

Spojrzeli na niego wzgardliwie.

Z jeleniego pokoju snuł się jęk coraz cięższy.

Matadory utkwili oczy w ziemię. Płochy kosmyk  
ciemności pelgał przez drogę, z brzegu na brzeg.

— Więc nic z tego? — Pomocnik wahał się, czy  
ma rozdać kieliszki i rozlewać wódeczkę, czy schować  
wszystko.

Ksiądz tupnął śniegowcami, zatarł ręce.

Z jeleniego pokoju dobiegła znów, aż tu, fala roz-  
trzęsionego głosu.

Przysunęli się razem blisko.

— „Historja“ może trwać — zamruczał nagle  
ksiądz — godzinę, albo dobę. Albo trzy!

Gluchy jęk snuł się nieustannie.

Wtuliwszy głowy w kołnierze, stali zasluchani.

Ksiądz machnął ręką niecierpliwie.

— Otóż w danym wypadku — szczekał pan Go-  
mółka zębami — praktyka nigdy nie zawodzi. Dzieci,  
rodzące się podczas pożaru, są zawsze płci męskiej. —  
Będzie syn!

Niemiec zatrzepotał powiekami, — syn? Sohn —  
i podgarnął się bliżej, szepcząc:

— Co to znaczy, co oni mówią?

Zdała od szkoły wciąż jeszcze aż na drogę, aż tu  
wylatał rozgłos ognia, krzyk tłumu, trzask padających  
części dachu i wołanie komendy. Dopiero teraz —  
i utrzymują, że nie byli w znowie, — dopiero teraz za  
górami po tamtej stronie rzeki ukazała się w srogich hel-  
mach zaspana straż ogniowa.

Pan rejent widział przecież najdowodniej, lecz na-  
gle, — jakby wcale o tem więcej nie myślał! Zwrócił  
się w stronę Niemca i rzekł półgębkiem:

— Syn, — filius, — Sohn...

Z pomiędzy uchylonych drzwi apteki wydarł się na-  
gle krzyk, wołający, dźwięczący, — ach, — jakgdyby  
szalony! Tak doszczętnie rozdarty, jak krzyk ptaków  
z wiosną w puszczy wysoko nad wodami.

Panowie przed apteką zbiegli się nagle razem.

Pomocnik aptekarski ze śmiechem rozdał im jako-  
weś kubki, — nalał — unieśli je, — zderzyły się.

I cóż to było, — wiatr, noc czy późna pora, czy też  
ów ogień, pożerający szkołę?

Rejent powtórzył, — filius, — ale nie śmieli sobie spojrzeć w oczy, gdyż jakby właśnie i księdzu i panu Gomółce i panu rejentowi, i wszystkim, — wiatr wyciskał łzy z oczu?

Nawet ten Niemiec oschły uśmiechał się nabożnie i poprzez straszny krzyk trwający w ciemnych sieniach apteki, powtarzał szeptem:

— Filius.

ODWILŻ

Mieliśmy sobie w kasynie postawić jeszcze po wódeczce przed obiadem, gdy Leń wydobyl depeszę z portfelu:

— Przeczytajcie:

*Przyjeżdżam piątek Zofja Kruszevska.*

— Musimy ją jakoś przyjąć, — dodał, — mam to referować kapitanowi. Bądź co bądź, narzeczona po, — no, — padł na Wołyniu... Po Staszku! Referować: Narzeczona, — przyjeżdża, — trzeba przyjąć. — Proste?

— Ja ci powiem, — zaperzył się Kujon, — wcale nie jest tak proste. Bo on ci ją kochał ten nieboszczyk! Służyliśmy razem, — widziałem! Zawsze nosił na sercu jej listy. Było tego na spory, gruby tom. Zawsze mówił, że go uchronią od śmierci. Niby, że tyle miłości kula nie przebije!

— Tymczasem, — skrzywił się Leń, — kula przebiła i listy i serce pod niemi schowane, i —

— I co? Nic więcej nie miała do przebiccia, — uznał Kujon.

— Więcej o tyle, — rzekłem, — że tu były specjalne okoliczności. Nie widzieli się od początku wojny. Najprzód panna była odcięta, potem znów my robiliśmy ofensywę.

— W każdym razie, teraz wszystko skończone. — Kujon ścisnął cytrynę. Kilka złotych kropel spłynęło po sardynce, umieszczonej na kawałku razowca. — Teraz za późno, — kończył, chrupiąc głośno, jakby maluszką trumienkę srebrną miażdżył w hałaśliwych szczękach, a nie miękką, tłustą rybkę. — Za późno. No nie? No, bo co?

Popatrzyliśmy na siebie, z bezmyślnych tępych twarzy czerpiąc nieoczekiwaną otuchę.

— Naturalnie, że za późno, — Leń zarzucił nam ręce na ramiona.

Staliśmy chwilę przed bufetem.

— Czy nie mówię? Naprzód się jest żywym, potem, jako fotografia na ścianie, a potem już tylko „głowa“ wystrzyżona leży gdzie bądź w szufladzie, przy złamanym grzebyku. Śmieszne! — Wzruszywszy ramionami, pociągnął nas Leń do jadalni.

Stał tu ogromny stół w podkowę, nakryty dla wszystkich oficerów pulku. Głodniejsi siedzieli już na swoich miejscach i skubali bury chleb wojskowy. Grube kromki odznaczały się na obrusie, niby małe grzędy ziemi. Inni rozparci na parapetach, patrzyli przez okno na drogę i przeciwległe boki budynków koszarowych.

Dowódca pulku zagadał się z kimś we framudze i trzeba było czekać z obiadem.

Wiatr mierzwił śniegi na dachach, dyszał szronem przez gzymsy, szlifując blizny wydeptanych między koszarami ścieżek coraz ostrzejszym polyskiem. Zatrzymaliśmy się przy oknie, gdy oto właśnie gmachy, szosa, ścieżki zniknęły w białym porywie zawiei.

— Trzeba będzie gościa holować „wzdłuż“ pulku,

wietrzyć historję bohaterskich czynów, opowiedzieć specjalnie, jak się to odbywało. Jak się śmiało odbyć, że ktoś, kogo kochamy, pozwolił sobie zginąć. — Leń otrząsnął się wzgardliwie. — Panna z pewnością przyjeżdża „za pamiątkami“ po poległym. Może w końcu zostało gdzie co?

Patrzyliśmy na szybkie tumany wichury, — jakby mogła wyłonić z mrozu i szronu jakikolwiek strzęp po człowieku, który gdzie indziej zginął, gdzie indziej jest szukany, komu innemu życie oddał, a w kim innym nieci pośpiech rychłej, niewczesnej pogoni.

— W naszym wojsku, — zaśmiał się Kujon, — wszystko jest pamiątką.

— Może, — nudził się Leń. — Ale, żeby to wytłumaczyć, trzeba być dobrze wychowanym człowiekiem. Któż to potrafi dzisiaj?

— Nic łatwiejszego, — rozległy się za nami słowa kapitana. Nasz dowódca bataljonu uśmiechał się życzliwie. — Wystarczy w tych wypadkach trzymać się tego zasadniczo, coby armja wydała, jako regulamin żałoby, gdyby wogóle wydawało się takie regulaminy. W pierwszym rzędzie oficer ginie dla Ojczyzny. No, — my nie potrzebujemy pocieszać w imieniu Ojczyzny. W drugim rzędzie oficer ginie dla sławy pulku. Więc dla nas honor pulku rozwiązuje wszystko. Już. — Koniec. — Jeżeli panowie wyraźnie to zaznaczycie, to wszystko odbędzie się całkiem gładko.

Uradziliśmy tedy, że przyjmiemy pannę możliwie elegancko, ale poważnie, z odcieniem państwowo-twórczej żałoby. Podkreśli się żywą pamięć, która nigdy nie wygaśnie, bo pułk, jako wspólny dom... Jak poleciał

kapitan: w myśl regulaminu żałoby, gdyby się takie regulaminy układało.

Szczegóły techniczne nie nastroczały wiele trudności. Postanowiliśmy, że stołować się będzie panna Kruszevska w naszym kasynie.

— Oczywiście, — Kujon żądał tego stanowczo, — nie można na takie ciężkie przejścia dawać komuś bataljonowego wikt. Szalenie dużo znaczy odpowiednia djeta. Więc bez naszych kasz, kapust, słonin — jedzonko lekkie, dużo nabiału i siekanej cielęciny.

Postanowiliśmy również, że panna nie będzie mieszkała w koszarach, a w pałacyku o pół kilometra od koszar. Pałacyk ów coprawda wystawili kiedyś rosyjscy oficerowie dla panien swego pułku, ale wszakże do przedmiotowych murów z hańby, czy rozpusty nie nie przyszło, natomiast zostało wiele palm, fikusów i różnej egzotycznej zieleni, która w danym razie posłuży za ozdobę.

— Trzeba bardzo uważać na takie drobiazgi, — zalecał Kujon, — nieraz jakiś głupi szczegół, czy kwiatek może zdjąć człowiekowi kamień z serca.

Leń zwrócił jeszcze raz uwagę na sentymentalną stronę przyjęcia. Może zdolamy odnaleźć pamiątki, jakieś ostatnie słowo, coś w tym rodzaju?

Nikt nic nie miał. Było to podczas odwrotu, oprócz fotografii w kancelacji pułkowej nic nie znaleźliśmy u naszego chorążego kancelaryjnego.

W oznaczony dzień, pożyczonemi z dworu niebieskimi sankami w różowe kwiatki, najlepszą parą bataljonowych siwków pojechaliśmy na dworzec.

— Po kawalersku, bracie, — wołał Kujon na wóz-

nicę, gdyśmy się znaleźli za koszarami, na białej, skrzacej od słońca przestrzeni.

Konie szarpnęły mocno, z drogi wychynał chłód jeszcze ściślejszy, od którego rozparła się nam w piersiach radość przestronna.

— To jest jednak okropne, — zauważyłem, — ostatecznie czyjaś bohaterska śmierć może się stać powodem wybornej przejażdżki.

— Idjota, — wołali razem Kujon i Leń przez iskry śniegu z pod kopyt wyrzucane, okładając mnie kulakami.

Przyjechaliśmy za wcześnie, pociąg się spóźnił, w nocy zaspą zawałiła gdzieś tor.

Poszliśmy do urzędu ruchu, do poczekalni dla wojskowych, zaczęliśmy otwierać jakieś zamknięte drzwi. Nagle okazało się, że nie mamy papierosów. Poszliśmy do bufetu.

Pełno tu było mieszczan, bab i wszelakiego ludu z ogromnemi tobołami.

Zaraz się nam przydarzyła okazja do samarytańskiego uczynku, starowina bowiem malutki, objuczony wielkimi trokami, uwiązł w szklanych drzwiach i mało się nie udusił, nie mogąc ruszyć ani wprzód, ani wtył. Wydobyliśmy go, biedne zajdy pod ścianą ułożyli, na co odpowiedział przez sopte długich wąsów: — Ludzie dźwigają teraz ciężary większe, niż sami są.

Wyszliśmy na peron, by nie doświadczać wdzięczności staruszka i zgromadzonych wokół niego bab.

Przed małą stacyjką, na srebrnych, szeroko rozciągniętych polach, niczem białe skrzydła gonily strzępy szronu. Po dwa, trzy, po dwadzieścia cały rząd wzbi-

jał się do góry, leciał i spadał zawojem na drzewa, rosnące daleko wzdłuż dróg. Wówczas znikał przez chwilę czarny deseń konarów, grube pnie rozwiewały się doszczętnie, na ich miejscu miotala się tęcza, — póki znów nie wychynął wysoki szczyt gałęzi, — roznionych od słońca, a z przed oczu naszych nowe nie wionęły skrzydła mrozu i pędu, lecące w świat zamrznięty.

Kujon przeciągnął się i z głupia-frant:

— Służyłem z nim w jednej kompanji, z tym jej Staszkiem. A teraz nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak wyglądał! Człowiek mija, powiadam wam, jak woda.

— Niekoniecznie. Coś tam z tego wszystkiego zawsze zostaje. — Leń uśmiechał się łagodnie. — Tysiąc ludzi umiera, armja ginie, aby mogła powstać jedna ozdoba. Tę ozdobę oddają sobie ludzie z rąk do rąk. Naprzykład pod Tebami zginęło zapewne dużo Macedończyków, ale Epaminondas mógł powiedzieć: *Satis vixi invictus enim morior*. Albo nasz Jagiełło: Mam mieczów dosyć... Albo: Ani z soli, ani z roli... Taki Czarnecki, co z siwym koniem wisi na oleodruku, w poczekalni u dentysty. Nasz kapitan ma rację, — honor pułku rozstrzyga wszystko.

Kujon ziewnął. Echo poleciało po polach. Tak wyraźnie słyhać to było w mroźnem powietrzu.

Blisko i daleko, — na granicy roziskrzonych pól i tuż obok, w śladach stopy na śniegu, — w dalekim rozprysku czarnych gałęzi i tuż obok, na grocie sztachetów, — pod ciemnym lasem i wszędzie na szynach

błyszczących, każdy zarys obrębiał się jasnością, a każdy ruch zmarznięty przemawiał sykim głosem.

Nagle otwarto wszystkie poczekalnie. Ubogi tłum, łapczywie rewidowany przez niemieckich szyldwachów, wyroił się na peron. Daleko, pod lasem, niby czarna szpulka, ukazała się lokomotywa, z białą smugą ostrego gwizdu u góry. Usunęliśmy się na bok, dając miejsce krzykom, tobołom, koszom, zajdom, węzelkom. Na stację wpadł pociąg, okryty śniegiem, ludzie wszczęli hałas jeszcze większy.

Gdy Kujon: — Jest, jest, to ta będzie!

Stała przy oknie wagonu, w fioletowej, aksamitnej czapeczce. Czarne karakuly połyskiwały metalicznie na jej wysokich piersiach.

— Skąd wiesz, że ta?

— Skąd wiem? — Kujon zachnął się. — Bo się patrzy, — taką ci się jakąś *przestrzenią* patrzy!

Szła ku nam. Skłoniliśmy się ceremonjalnie.

— Panowie pozwolą, że się przedstawię. Jestem —

— Ależ tak! Otrzymaliśmy depeszę pani. Panna Zofja Kruszevska.

— Tak właśnie. To tu kwateruje piąty pułk piechoty legjonowej? — Czysty głos odosobnił się jasno w hałasie odjeżdżającego pociągu.

Z pod aksamitnej czapki wyjrzały ku nam czarne, matowe oczy. — Gorące, jakby w ukrytej głębi amarantem przejęte.

— Panowie czekaliście tu na mnie?

Stropiliśmy się. Była bardzo piękna, jak na nasz mały pułkowy gust. Białe, czyste czoło, niby oddane pogodzie jakiegoś szczytnego zapomnienia. Na niem

czarne brwi, dziwne, zwarte, jakążę cierpliwością wygięte w górę? Z pomiędzy ich łagodnego zbiegu wynikał nos, pewną linią kreśląc mały garb, jaki mają stare portrety królów, — mały, burbońsko-feodálny. Śliczną budowę tego nosa powlekała cienka skóra, lśniąca na zboczach niebieskawym blaskiem. Ów blask niewiadomo kiedy przechodził pod orzechowemi oczami w puszysty cień.

Nozdrza wycięte były ostro i delikatnie a skraj ich przypominał krańce świeżo rozkwitłych płatków.

Usta spokojne, małe, ciche.

Stropiliśmy się i, zamiast poprostu odpowiedzieć, że otrzymawszy depeszę, wyjechaliśmy naprzeciw, — nie nie odpowiedzieliśmy.

Brwi pany Kruszewskiej ściągnęły się, policzki oprędko nieznaczne drżenie, jasność spojrzenia zgasła.

— Et, — siepnął się Kujon, — oczywiście, czekamy tu na panią z sankami.

Przedstawiliśmy się. Podawała nam rękę w białej zamszowej rękawicze.

— Ach tak, czekacie z sankami. Bardzo panom dziękuję. Czy daleko mamy do pułku?

Bynajmniej. Około piętnastu minut jazdy.

Stała bez ruchu, wciąż na tem samym miejscu. Wydawało się, że czeka na kogoś jeszcze.

Na służącą, na rzeczy?

Wzrok jej poszedł powoli po gzymsach stacyjnych, mijał ludzi, długim promieniem pełzył po śniegach.

— Więc to tutaj kwateruje, proszę panów, piąty pułk przez zimę? — Schyliła głowę i nagle na nas spojrziała. — Zacisznie ma tu pułk, prawda?

— Owszem, dobrze tu jest. — Jakby dla usprawiedliwienia dodał Leń jeszcze, — po tylu przejściach należy się wkońcu —

— A w której stronie, jeśli można wiedzieć, kwaterujecie panowie?

Pokazaliśmy gromadkę czerwonych kominów, które, jak czerwone truskawki, sterczały z dalekiego śniegu.

— Prawdopodobnie czuje się tu pułk doskonale. Stoicie panowie w murowanych koszarach?

— Tak, proszę pani, wszystko jest murowane, masywne.

— Ale z drugiej strony niema się z czego cieszyć, ani czego zazdrościć. Bo, proszę pani, — zaczął gwarzyć Kujon, — masywne, ale to przecie Rosjanie budowali, teraz mają Niemcy, a my, — mieszkamy tylko kątem poniekąd. Ciągłe się nam tak właśnie powodzi. Kosztuje człowieka, że ostatnią skórę z siebie zdziera, a w praktyce okazuje się, że mu jeszcze obcy łaskę robią.

Popatrzyła na niego zdziwionemi oczyma, w których tyle było światła, że się zmieszał.

— No to jedziemy, — rzekłem. Czas już był, pociąć dawno odszedł, stacja opustoszała, w słonecznej ciszy słyhać było dobitnie dygot dzwonek telegraficznych.

Obok panny usiadł Leń, — miał najwięcej reprezentatywnego wdzięku. Ja z Kujonem na przednim siedzeniu. Konie ruszyły z miejsca tęgiego klusa. Siwki nasze, jak twierdził Leń, nie dały się nigdy zakasować przed kimś obcym.

Czuliśmy wszyscy trzej, że teraz, więcej niż kiedy-

kolwiek bądź indziej, należy rozmawiać. Tymczasem prosty, czysty profil panny, z sanek wychylony i nad śniegami równo przemijający, onieśmielał nas. Mnie pod derką kopał Kujon porozumiewawczo, ja domyślnie szarpałem Lenia za płaszcz. Oczy nasze zbiegały się i wraz stroniły od panny, zatopione w błyskach słonecznych.

— Tak, tak, — podjął nareszcie Kujon, — kosztuje człowieka, że ostatnią skórę z siebie zdziera, ale z drugiej strony niema powodu do roztkliwień. Patrzy pani, na przykład, na te biedne chałupy, które mijamy, myśli pani z drugiej strony, że tam oto są te wspaniałe koszary, a tu ta biedna chałupa z próchna i łat. I co?! Tu nasz biedny lud, — a tam, w murowanem cieple, sławni żołnierze, — niby my! Ma się rozumieć, wzrusza się pani tym ludem chyba, — bo czyż cierpienie nie wzrusza? Tymczasem okazało się, że gdzie tylko w chałupie jest młoda dziewczyna, tam nasza żandarmerja poznachodziła koce kradzione z koszar... To znaczy, że żołnierze —

— Pani to napewno nie zajmuje, — pośpieszył Leń.

— Nie, owszem, proszę bardzo.

— Więc z tego wynika, — plątał się Kujon, — że żołnierze kradną koce dla tych dziewcząt. — Zaczzerwienił się, przetarł szerokimi dłońmi twarz i, wpatrzony rzewnie w profil panny, jak zrąb rzeźby mijający nad śniegami, krzyknął nagle: — Tak!! A potem żydzi te koce odkupują!

Spuściliśmy głowy bezradnie, Kujon rzutem dłoni jeszcze coś dopowiadał i tak w kłopotliwym milczeniu trafiliśmy do kasyna na obiad.

Dla nas nakryto dyskrejonalnie w mniejszej sali, przy bufecie. Panna Zofja poprawiła sobie włosy przed lustrem. Chciałaby jeszcze umyć ręce.

I to było przewidziane. — Wersal umieliśmy urządzić w obozie!

— Ale jeżeli jakiś kretyń, — zżymał się Leń, — dla nawiązania rozmowy, czy dla zatarcia przykrego wrażenia zacznie gadać o dziwkach, dla których bohaterowie koce kradną!

— A co, — huczał Kujon, — tybyś ją wolał marynować w milczeniu! Żal mi było kobiety, durniu!

Panna Kruszevska wracała już z garderoby. Zatrzymała się w połowie drogi, zdziwiona widokiem ogromnej jadalni, w której przy szklistem świetle zimowego południa, schylony nad stołami, jakby miał bósć, — jadł swe proste dania oficerski korpus pułku.

Zasiedliśmy i my do naszego obiadu. Był wystawny, lekki, salonowy. Ale panna Kruszevska nie piła wcale wódeczki. Otworzyliśmy puszkę z homarem. Kto znał obyczaje pułku, ten wiedział, jakie to było poświęcenie ze strony naszego bufetowego, że taką konserwę wydał.

Homara odkładaliśmy na nasze święto pulkowe.

Ale panna Zofja nie jadła homara. Już się Kujon rzucił na pulchne, różowe łapy, wyzierające z wonnego sosu. Ja też chętnie posmakowałbym. Niestety Leń, zawsze dobrze wychowany, wszystko, czego panna Zofja nie jadła, odstawiał odrazu na bok.

Nie darzył się nam tedy obiadek, smutny i szczupły bardzo.

Podczas deseru jęła panna Kruszevska rozpytywać szczegółowo o rozkład dnia i pracy w pułku.

— Muszę wiedzieć dokładnie, jak pułk żyje. Potem już mnie tu nie będzie a przecież —

— Jakto nie będzie? — spytałem mimowoli.

— Jak pułk żyje? — przerwał skwapliwie Leń. — Pułk bardzo teraz pracuje. Przeucza się z polskiego ładu i z austriackiego na niemiecki. Program jest bardzo obszerny. Marzyć teraz nawet nie można o urlopach, bo jeżeliby ktoś był dwa, czy cztery tygodnie poza pułkiem, to nie mógłby się już zorientować.

Panna przechyliła głowę do miłego uśmiechu, tymczasem z białych jej ust wionęło: — Już po dwóch tygodniach nie zorientuje się? Tak prędko?...

Leń utknął nosem w talerzu, ja zacząłem podawać sól i musztardę, Kujon szukał pod stołem serwety. Gdy oto z sąsiedniej sali doniósł się trzask odsuwanych krzesel.

— To znaczy, — objaśniliśmy, — że się tam już skończył obiad. Widocznie wstał już pułkownik, a za nim musieli wstać wszyscy. Zaraz tu będą.

Schodzili się po dwóch, trzech, całemi grupami na czarną kawę. Panna Zofja patrzyła uważnie, badawczo, jakby rozpoznać chcąc, przypomnieć sobie, wyobrazić. Odpowiadała wdzięcznie na ukłony, za każdym razem przysmykając oczy.

— Nie wiedziałam, — rzekła nagle, — że tylu oficerów jest w pułku.

— Naturalnie, proszę pani, pułk to już duża maszyna.

— Duża maszyna, — powtórzyła, spuściwszy po-

wieki. Jej białe długie dłonie, pokryte siateczką chłodu, — jak gdyby nagle miały zfrunąć. — Tak duża, że trudno wszystko spamiętać. Naprzykład, ile nasz polski pułk ma bataljonów? Trzy, czy cztery?

A po chwili, odrzuciwszy ułożoną ceremonję, — o całą oktawę niżej, ciężkim prądem głosu: — Chciałabym poznać wszystkich oficerów bataljonu, — w którym —

Na to Leń, szybko zwięzając oczy, jakby wypatrywał w oddali: — Chodzi pani o bataljon, który ma najwięcej świetnych czynów za sobą... Oczywiście! W którym jest najżywsza tradycja... O, — nie przynosi to ujmy innym oddziałom. Ale nawet między dzielnymi może być dzielniejszy. Więc skoro już na to przyszło, — to zapewne ma pani drugi bataljon na myśli, — do którego, doprawdy mimowoli, i my mamy zaszczyt należeć.

„Doprawdy mimowoli mamy zaszczyt“ — było w tem wszystko, i zaiste, Leń tak tylko umiał mówić.

Nie minęło dziesięciu minut a już koło naszego stołu siedzieli prawie wszyscy oficerowie bataljonu. Każdy starał się przykładowie powiedzieć coś okolicznościowego o pogodzie, o Niemcach, o ekwipunku. Któryś kanciasty głowacz zatracił nawet o politykę.

Panna Zofja tym samym wzrokiem utrudzonego poszukiwania patrzyła kolejno na wszystkich.

Czuliśmy, że dziwi się, że wyznać się w nas nie może, jakbyśmy tu siedzieli tłumem nieprzeliczonym.

Wstała od stołu.

— Chciałabym zapytać, — policzki jej zbieleły, ręce zwisły, wciągnięty gwałtownie oddech zdawał się mar-

szczyć czoło szaremi kreskami. — Chciałabym zobaczyć żołnierzy kompanji, z którą —

— Ależ tak, — zerwał się Leń, wszystkich nas wtył odsuwając, — ależ tak, ma się rozumieć! Pragnie pani zobaczyć żołnierzy tej kompanji, z którą nasz bataljon dosłużył się największych zaszczytów!

Cisza poleciała przez cały stół. Na ustach panny Zofji zjawił się uśmiech smutnej ulgi.

— Jesteśmy gotowi każdej chwili, — oświadczył Leń.

Po drodze z kasyna do koszar na wyslizganej szosie zatrzymała się. Musieliśmy mówić głośnie, bo dał wiatr. Od zachodu szły gęste chmury. Tłumaczyliśmy pannie, że ta najlepsza kompanja była właściwie rozbita. Przecież to było podczas odwrotu! Rzeczy, archiwum, — wszystko zostało w okopach. Nawet poległych naszych nie mogliśmy byli pogrzebać... Po ciężkich stratach musiano kompanję uzupełnić nowym materiałem, tak, że nie wszyscy dziś... Bardzo niewiele pozostało z dawnego składu.

— Ale panowie pokażecie mi tych dawnych żołnierzy, którzy zostali?...

— Oczywiście.

Gdyśmy weszli do koszar, starzy żołnierze wiedzieli już, że to narieczona ich dawnego porucznika.

Ani jeden nie oderwał się od pracy.

— Czyszczą broń, — prawda?

— Tak, proszę pani, dziś jest czyszczenie broni.

Żołnierze mordowali się nad onym kawałkiem żelaza po dwóch, po jednym, wymachując zatłuszczonemi dłońmi. Ten trzymał na podolku kurek i dłubał w sprę-

żynkach, tamten zwijał sznur, inny znów starą szmatą jeździł szybko po lufie. Pełno było wszędzie stalowych kulek, trzóstek, uchylków, które niby metalowe wąskie ścięgna, wyciągały się w rozmaitych kierunkach.

Zebraliśmy szarże i wszystkich starych wiarusów z dawnego składu kompanji. Każdego kolejno przedstawialiśmy pannie Zofji. Kiwała głową, wpatrując się w ogorzałe twarze.

— Proszę was... — Ogromny oddech przepełnił jej piersi. Nie stało miejsca dla słów. — Proszę was!...

Żołnierze zadarli głowy do góry. Stopniowo, jakby sam duch najgłębszego milczenia schylał tę, czy tamtą czuprynę, spojrzenie osnuwał kurzem, a w ramionach ciężył bezwolą. Niewiadomo kiedy i jak, na ciężkich, podkutych buciskach rozeszli się cicho po izbie, zpowrotem do roboty.

Panna Kruszevska wsparła się na stole, przesuwając machinalnie ręką po gwerach. Niebieskawe jej palce tym samym cierpliwym ruchem wspinały się wolno na zamek, to się z niego zsuwały. Ręka mijała lekko wśród sprężyn, kurków, i luf.

Nagle palce Zofji wpadły do otwartego zamku. Wyczuły rozumnie każdy załom, każde zgięcie. Wydostawszy się stamtąd, pobiegły z ciekim zgrzytem aż do końca lufy i skupiły się na muszce. Tak, — jakby dotykem chciała poznać tę krótką drogę, którą z wąskiego narzędzia weszła śmierć w jej ukochanego człowieka...

Zwrócone ku oknu oczy napelniać jeło po brzegi płynne światło. Panna Zofja uniosła głowę jeszcze wyżej. Na rozwachlarzonych nozdrzach osiadł cień. Trwała tak długo, całkowicie oddana wysiłkowi równowagi,

wszystkimi mięśniami ciała skupiona na brzegu cienkiej powieki, pod którą łyzy wezbrały.

Wysiłek był tak ogromny, że Kujon, który chciał coś „oznajmić“, — od połowy izby szedł na palcach.

Gdyśmy nareszcie opuścili koszary, kierując się przez szosę do kancelarii pułkowej, — I cóż, — rzekła, — nie zapamiętam ani jednego z tych starych żołnierzy. Zczasem zapomnę podobno, jak wyglądały te koszary?! Zczasem przecie zapomina człowiek wszystko.

Nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć.

Leń postawił swój kołnierz futrzany.

— I cóż jeszcze, proszę panów? — Jakies papiery, — jakiś świstek, jakiś strzep?...

Zachrypniętym głosem obiecał Kujon pokazać w kancelarii pułkowej to, co *mniej więcej* zostało.

Trafiliśmy tu na ważną chwilę bicia na maszynie odprawy, rozdziału poczty i ekspedycji. Zabrakło karbidu, — urzędowanie szło przy świecach. W pierwszej sali dreptał tłum żołnierzy, w drugiej krzątał się podchorąży, nasz pułkowy szczur kancelaryjny.

— Tu pani znajdzie. — Przedkładaliśmy powoli akta ewidencji oficerskiej.

Maszyna dudniąca odprawę stukała nieznosnie, piach zgrzytał pod butami, raz wraz skrzypiały drzwi.

Na każdym arkuszu umieszczona była w rogu fotografia danego oficera, poniżej szły czarne kraty rubryki, — gdzie się rodził, czy żonaty, gdzie walczył. Całe życie żołnierza, — posiane między linje garsteczką kilku liter.

— Tu są i żywi! — wykrzyknęła panua Zofja, spoglądając na fotografię Kujona.

— Tak, — odpowiedział, — bo tu są wogóle wszyscy oficerowie pułku.

Gdy wtem pociągnęło ją wprzód. Ujęła nową stronicę w obie ręce i poniosła ku oczom tak ostrożnie, jakby kartka utkana była z pajęczyny.

Na białym arkuszu, pod fotografią oficera, zarysował się cień profilu panny Zofji.

Cofnęliśmy się wtył.

Czytała powoli każde słowo. Widać, że czytała kilka razy to samo. Wyciągnęła rękę do chorążego, żądając następnych arkuszy. Jakby miał w swem rozporządzeniu niewyczerpane zapasy z tą samą podobizną...

Wtulił głowę w ramiona i podał kartę wojskową, złożoną w czarnej pochewce.

— Dziękuję panu. Bardzo panu dziękuję. — Na podobieństwo człowiecka, który tylko co powrócił z dalekiego biegu, wytchnęła.

Poczem, w innej, oschlej tonacji: — Teraz rozumiem! To się nazywa karta wojskowa, a tamto arkusz ewidencyjny. Tak to panowie macie podzielone, — prawda?

Złożyła papiery. Błede powieki zsunęły się, rzucając znikomy cień na policzki.

— Bo ci powiadam, — szeptał Kujon do Lenia, — tak dalej nie może być. Ja go tu żywcem widzę, bracie, między nami... Żywcem! Wszystko dawno skończone, a tymczasem... — Ja go tu żywcem widzę!

Podeszliśmy, Kujon, Leń i ja, gotowi w danym razie podtrzymać pannę Zofję.

— A, — czy proszę pana, — pytała już znowu

z urzędową niemal uprzejmością — codziennie o tej porze macie panowie tyle roboty w kancelarji?

Choraży odpowiedział, że codziennie, zresztą, to zależy od okoliczności.

Wyprostowana sztywno, zwróciła się ku nam. Jej oczy szły przez nasze twarze, jedną, drugą i trzecią.

— A teraz, proszę panów?

Leń wstydliwie zapalił papierosa.

— Teraz, — gwarzył znowu Kujon, — są zamówione sanki, czekają przed kasynem. Można ewentualnie pojechać na pani kwaterę. Ewentualnie jest czytelnia pułkowa i dzienniki. Książek, prawdę powiedziawszy mamy mało! Ewentualnie — szachy!

— Więc pojedę już chyba na kwaterę.

Ofiarowaliśmy się odwieść. — Wolala pojechać sama. Oczywiście, wieczorem zobaczymy się znowu.

— O tak.

Jak na komendę wyprostowaliśmy się i zasalutowali.

Sanki pomknęły naprzód, w schyłku zimowego dnia. Fioletowa czapka zniknęła na zakręcie szosy.

Zapaliliśmy, — wszyscy trzej. Dym się z nas prządl razem z mroźnym oddechem. Gęste śmiecie latały w rowach przydrożnych.

Siwe niebo leżało nisko.

Dobłą już chwilę staliśmy na tem samem miejscu, gdy Kujon, rozgarnąwszy wartkie smugi wichru, — czy wiesz!? — wrzasnął, — żywcem ci go teraz widzę! Jak ciebie, — żywcem!!

Na co Leń odepchnął go pięścią i ze mną pod rękę zawrócił do koszar.

— Nie oglądaj się, — krzyczał, gdyśmy przechodzili koło warty głównej, — nie oglądaj się jeszcze.

Dochodząc do kasyna, spostrzeegliśmy, że — biegnie my. Leń się roześmiał.

— Swoją drogą — zauważył, — powinno się ją odwiedzić wieczorem. W tym pałacyku.

Poszedłem z odwiedzinami tem chętniej, że noc była prześliczna. Niebo czarne, nabite gwiazdami, księżyc czysty, jak lód. W blasku ścigłych promieni przechylały się pochyło długie, białe pola. Szosa lśniła od twardego srebra. Tupąłem i głośno dzwoniłem ostrogami. Potem szedłem przez park, w nagłej, potulnej radości, że idę, tupię, dyszę parą.

Cóżem winien, że inni polegli?!

Dopiero, gdy wszedł na tę kwaterę, zrozumiałem, jak nieszczęśliwy mieliśmy pomysł, urządzając mieszkanie panny Zofji w pałacyku na piętrze. Ściągnęliśmy od rezydenta z cieplarni wszystkie palmy, oleandry, fikusy, rododendrony. Rośliny te, ustawione pod ścianami i przy oknach, czyniły wrażenie pogrzebowej dekoracji. Księżyc srebrzył czarne liście i rzucał ostry cień wzdłuż białych desek podłogi. Wskroś światła świecy kładł się na pokój duży krzyż okiennych ram, opleciony czarnem odbiciem sztywnych liści palmowych niby cierniem.

Panna Kruszevska siedziała na kanapce, pod ogromnym fikusem.

— I cóż słyhać nowego, proszę pana?

— Nic. Wszystko w porządku.

— Niechże pan siada.

— Nic łatwiejszego, — odpowiedziałem bezmyślnie i usiadłem.

— Teraz zapewne jecie panowie kolację a pan sobie przeszkodził?

— Ależ nie. — Zostawia mi! — Względnie nam, — jeśli pani raczy —

— Jeżeli ja?

— Pyta się pani, co słyhać? Byłbym zapomniał! Coś nowego, co do pogody. Koledzy, którzy byli ranni skarżą się, że ich drze po kościach. Będzie z tego odwilż. Trzeba korzystać, póki nie jest ślisko. Przejsz się. Może pani raczy do kasyna, do nas?

— Być może, — odpowiedziała, — nie chciałabym, by na mnie czekano.

Zamilkła.

Zdało mi się, że w miarę, jak mówię, jej białe czoło staje się jeszcze wyższe, czystsze, jakoby wielką wodą obmyte. Że na skroniach wschodzi niebieski cień, a oczy nikną w głębi.

— Do kasyna? Ach, nie, dziękuję panu. Tu mi dobrze. Myślę, że jestem u nas w domu, na wsi i równocześnie, że jestem tu w pułku. A może nigdzie nie jestem?... Tyleście sobie panowie zadali trudu! Czy warto? Wszystko tak porządnie, starannie, na arkuszu, z pieczątką! Czy warto?!

— Proszę pani, — odpowiedziałem, — nie wiem. Ale, gdy człowiek istotnie dużo przecierpi... Dziś na stacji pewien staruszek, któremu pomagaliśmy przy tobołach, czekając na panią, powiedział nam, że ludzie dźwigają większe ciężary niż sami są. Myślę, że gdy człowiek dużo przecierpi, tyle się w nim musi uskładać

jakiejś obecności... Tyle czasu musi się nagromadzić, że nie trzeba pomocy szukać ani długo, ani daleko. Wszędzie się ją znajduje. Idzie pani stąd tu, stąd tam i cóż? I widzi pani na przykład stare powróśło, leżące na drodze. Proszę tylko pomyśleć, — kto je kiedyś skręcał, a komu teraz służy? Kto się tu spotkał, kto minął? Leżą razem stare, przetarte włókna i, — chcę powiedzieć —

— Co?

Światło księżycy związało na jej włosach duży, srebrny pierścień.

— Sądzę, proszę pani, że sama siła istnienia —

— O tak, zapewne, to dużo znaczy. No więc, — chodźmy.

Zatrzymała się na klombie przed bramą. Wielkie, słomiane chochoły pobliskich krzewów sterczały ze śniegu, jak olbrzymie złote pazury. Wokół sinego ich cienia i pośród wystrzępionych końców iskrzyły się gwiazdeczki szronu.

— Wie pan? Nie pójdę. Nie, — nie, — nie. Już dziś nigdzie nie pójdę, — taka jestem zmęczona!

Na tle gęstwy osędziałyich krzaków zabrzmiał jej głos niesamowicie: Jakby tu nagle w odmęt mroźnej nocy wytrysła straszna skarga nieprzytomnej rozpacz.

Wróciłem do koszar, sam, zły i uroczyście oświadczylem Leniowi, że ani mnie, ani też jego i Kujona nie może, nie powinien bataljon w takiej chwili zostawić sam na sam z tą historją. Panna już i tak jutro odjeżdża! Zresztą, jeżeli chodzi o regulamin żałoby, — gdyby wogóle takie regulaminy istniały, — to wypada-

łoby, żeby wszyscy oficerowie bataljonu, z dowódcą na czele, dali wyraz odpowiedniemu uczuciu.

Poszliśmy do kapitana. Nie spał jeszcze. Wyluszczyliśmy, w czym rzecz i że trudno nam bardzo.

Jego mała, do żbika podobna głowa uniosła się z płaskich poduszek.

— Tylko brak doświadczenia, tylko niezrozumienie charakteru służby żołnierskiej może pozwolić na czułości tam, gdzie rzeczy najprostsze — poklepał się po nagich ramionach i, obciągnąwszy koszulę nocną, oznajmił, że sam wszystko załatwi.

Nazajutrz, w myśl ustanowionego programu, wszyscy oficerowie naszego bataljonu byli w kasynie, by po rannem śniadaniu, z odcieniem państwowo-twórczej żaloby pożegnać pannę Kruszewską.

Razem z nią piliśmy kawę, kapitan po prawej ręce, najstarszy porucznik, to znaczy Leń, po lewej. Słońce grało światłami w zastawie stołu, z pomocą niejako śpiesząc stanowczej inicjatywie naszego dowódcy. Mówiliśmy o zmianie pogody, w nocy bowiem przesiliło się: od rana trwała odwilż, kapiąca z wszystkich rynien, rozdzwoniona po wszystkich gałęziach, nawet w murach tak żywa, jakby i przez ich treść najciszejszą głos miękkiej kropli przepływał.

Kapitan nie uciekał się do żadnych wybiegów, prawiąc twardo, do rzeczy.

— Przypuszczam, — mówił, — że razi panią trochę ów za rodzinny sposób z jakim my tu, koledzy razem jemy, pijemy? Ale tak już zżyliśmy się ze sobą! Dowodzę tym naszym drugim bataljonem i jestem razem z tymi panami prawie od początku wojny.

Na pierś jego upadło smutne spojrzenie Kruszewskiej. Wytrzymał obojętnie.

— Zżyliśmy się tak dalece, proszę pani, — ciągnął między łykiem kawy a łykiem, — że chyba nie przesadzę, gdy powiem, iż w danym razie jakiegoś czynu, działania wyrażam zawsze jednolitą myśl wszystkich oficerów bataljonu.

Panna Zofja patrzyła z ledwie dostrzegalnym cieniem zgorzzonego zdziwienia. Widziałem, jak wzrok jej mija nas kolejno, krąży wśród postrzałów światła na szkle i uważnie zatapia się w jasno-zielonych oczach naszego dowódcy.

— A czy pan żonaty, panie kapitanie? — spytała.

— Tak, tak, od niedawna, — odpowiedział z radością. Popatrzył na pannę, rozejrzał się ostrożnie i nagle umilkł.

W miarę występujących na jego policzki rumieńców zapadała dokoła stołu cisza coraz głębsza.

Ale naszemu kapitanowi musiały zawsze sprzyjać okoliczności. Teraz, — wszedł niespodzianie żołnierz, stuknął obcasem i oddał dla panny przepustkę z świadectwem odwszenia, podpisanem przez doktora pułkowego.

— Inaczej nie mogłaby pani jechać kurjerem.

Ktoś spojrział na zegarek. — Już czas.

Kapitan podał pannie futro. Podnieśliśmy się wszyscy.

— Jeszcze tylko rękawiczki. — Wdziewała powoli, obciągając palce. Spojrzenie jej gubiło się bezradnie wśród przedmiotów.

Obładowani pakunkami, zeszliśmy nadół.

Przed bramą czekały niebieskie sanki w różowe kwiaty i para naszych najlepszych siwków z bataljonu. Szosę i przeciwległe budynki zasłaniał rząd drzew, pokrytych śniegiem. Czarne gałęzie zdawały się prężyć pod tęczowymi aksamitami światła. Przez niskie krzaki widać było na tle błękitu maszerującą gościńcem kompanję.

Broń się iskrzyła, żołnierze śpiewali a pędzący przed oficerem pulkowy pies „Zbój“ ujadł rozgłośnie.

Ale i śpiew, i szczekanie i marsz grążyły się w skocznym tętnie odwilży.

— Będzie pani miała śliczną drogę. Sanna jeszcze trzyma, — ucieszył się kapitan.

Skinęła potakująco.

Staliśmy półkolem przed bramą i każdy dorzucał jakieś zdanie, by rozmowa nie wygasła.

Najwydatniej ją wspierał głos tającego lodu. Na każde słowo odzywało się dziesięć i sto kropli, bębniących w kamień, glinę, piach. W zatkanych rynnach bełkotał niecierpliwie tok wody. Całe powietrze wypełnione było rozgwarem. Tysiące maleńkich okrzyków drżało między błękitem a miękkimi śniegami.

Do kapitana przystąpił ztyłu Kujon. — Co jest, — pytał, — i właściwie co ma być?

— Z czym?

— Miałeś, kapitanie, raz dwa odprawić całe naboństwo, tymczasem knoci się, knoci i knoci —

Dowódca strzepnął rękami i wystąpił przed oficerkie półkole.

— Mam wrażenie, kapitanie, — rzekł Leń, podchodząc bliżej, — że pani pragnie już pożegnać się.

Zdziwiliśmy się, spojrzawszy na naszego dowódcę. Twarz jego straciła wszelką miękkość, rysy wystrzymała baczność usilna a mięśnie stłoczone zaciskiem szczęk drżały, — widywało się to tyle razy — jak podczas ognia w polu.

— Teraz się zdecydował, — jęknął Kujon, — najwyższy czas!

Zofja uśmiechała się do nas wszystkich z przepisana uprzejmością pożegnania. Wzrok jej ślizgał się obojętnie po tafli lodu, z którego splywała woda wąskim brzegiem, stwarzającym nowe granice przezroczystej jasności.

Kapitan pochylił się, zasalutował i, wpatrzony w przestrzeń, jak podczas czytania przed frontem długich, obojętnych rozkazów, rzekł nagle:

— Zechce pani przyjąć najserdeczniejsze wyrazy głębokiej kondolencji —

Skuliła się.

— Poczuję się do tego obowiązku, — trzeszczał kapitan, — jako komendant bataljonu, w którym walczył i zginął świętej pamięci narzeczony pani!

Blade policzki panny Kruszewskiej ożywiło szybkie drżenie. Pod puszystą skórą mieszać się jął rój centków fioletowych, niebieskich. Wargi się rozszczepiły. Śliczny trójkąt brody, ściągnięty nagle szarą pętelką zmarszczków, cofnął się wtył.

— Poczuję się do tego obowiązku, jako dowódca bataljonu, w którym walczył i zginął świętej pamięci narzeczony pani, służąc jako przykład podwładnym, — kapitan otarł z czoła i z nad górnej wargi kroplisty pot.

Półkole oficerów zmartwiało. Twarze, zwrócone ku

słońcu, objęte blaskiem, niby w miedzi odlane, patrzyły daleko przed siebie szeroko rozwartymi oczami.

— Poczuję się do tego obowiązku — sypał jeszcze raz od początku nasz kapitan, — jako dowódca bataljonu, w którym walczył i zginął świętej pamięci narzeczony pani, służąc jako przykład podwładnym, dopełniając zaszczytnie swego posłannictwa wobec Ojczyzny, oraz wobec naszego piątego pułku piechoty.

Kapitan skłonił się uroczyście i już miał, po skończonym niejako obrzędzie, wcielić się w szare tło oficerów, gdy panna Zofja chwyciwszy go za rękę:

— Ach tak, — krzyknęła, — naturalnie, wypada podziękować!

Kolejno na nas, na sanie, śnieg, na wodę zewsząd kapiącą patrzyła szeroko rozwartymi oczyma, w których odbijał się promień słońca nawskroś, — jak w szkłe.

— Wypada mi podziękować panu, panie kapitanie, za niego i za siebie — za nas dwoje?!

Dowódca podał się wtył.

Słychać było każdy skok kropli, ciekącej z lodowych mieczów w miękkie łono śniegu, każdy ruch koni w skórzanym chrzęście uprzęży.

— Widzę go, — urwał mi Kujon nad uchem. — On tu jest, między nami. Teraz go wszyscy widzą!

Trzymaliśmy ręce przy daszkach, gdy oto jeszcze raz zwróciła się ku nam. Jej dłonie w białych rękawiczkach, niby dwie grudki śniegu, przywarły do oczu. Tchnąc naprzód białym oddechem, podała się ku nam z sanek. Ramiona się uniosły i, jakby udźwignąć nie mogąc ciężaru straszego milczenia, zrzuciły go na lód.

Zauważyłem, że od kilku dni był w kompanji nowy powód do zabawy. Podczas marszu na „odtrąbiono“ wybuchały nieartykułowane ryki. W czasie odpoczynku wszyscy żołnierze skupiali się na jednym miejscu, rechocząc wraz z szarżami. Nie wypadało dowiadywać się o co chodzi, a tem bardziej przeszkadzać, zwłaszcza, że żaden z podoficerów o niczem zdrożnem nie meldował.

Zabawa skupiała się koło nazwiska Rostowicz. Słyszało się je coraz częściej, na coraz rozmaitsze nuty.

Czy to był nowy rekrut (bo nie mieliśmy starego żołnierza tego nazwiska), czy też określenie, fiktywnego człowieka, niedołęstwa, wypadku, okoliczności czy wreszcie jakiś nowy dowcip zbiorowy?

— Rostowicz! — nęcili jedni niecierpliwie.

— Rostowicz! — wyły niskie basy kompanji, rozsiadłe pod sosnami.

— Rostowicz! — stękało kilku nygusów na trawie.

Po ciężkim marszu przez gorące piachy odpoczywaliśmy na wydmie leśnej tuż przy brzegu Narwi. Żeby nie wrzaski o głupiego Rostowicza, możnaby istotnie odetchnąć.

Niebo rozpina się nad okolicą, — jak tylko oglądać je można u zbiegu tych dwu rzek, Narwi i Bugu

i chyba tylko w owym czasie młodości naszej, gdy dniom niewola towarzyszyła, a lata wydawały się na zawsze przyobiecane wolności!

Niebo błękitno-złote, u roziskrzonych brzegów z ziemią połączone, na środku aż wyleniałe od blasku.

Po prawej stronie za półkolem bladych piachów nadbrzeżnych szeleści lekko rzeka i garsteczkami fali odmierza ciszę dnia. Po lewej w cieniach lasu wilgotny głos ptactwa nawołuje stokrotnie.

Prócz żołnierzy, rozłożonych na wzgórkach, nikogo nie widać w lśnieniu drzew i łąk. Tylko małe, bystre owady świecą swą pracą w słońcu.

— Dawać tu Rostowicza — ryczy znowu gromada.

Spotałem siedzącego obok mnie sierżanta Trepkę, — co to za nowy okaz ten Rostowicz!

Trepka uniósł się z pnia i huknął w rurkę zwiniętych dłoni: — Rostowicz!

Głos poszedł szparko lasem, gromady żołnierzy przycichły. Z głębi zagajnika dał się słyszeć łomot, jakby spłoszone zwierzę dążyło gwałtownie przez gąszcz. Po chwili wyszarpnął się z pomiędzy sosenek niski, krępy żołnierz. Szedł pod słońce, twarz miał zmarszczoną od blasku.

Spieszył się i ociągał zarazem. Wydawało się, że łydki osiadają mu w kostkach, uda w kolanach, cały korpus w nadmiernie szerokich biodrach, a czarna głowa na nieobrotnej szyi ciągnie naprzód, lecz nie może wydolać.

W połowie drogi przystanął.

Zauważyłem, że mundur na piersiach Rostowicza

wypreża się pod niespokojnym oddechem, a dolną naprzód wysuniętą wargę powleka ślina.

Parę kroków za nim formował się już przygodny półkrąg rozbawionych żołnierzy.

Sierżant Trepka krzyknął raz jeszcze:

— Rostowicz!

Rekrut drgnął, złapał się za szwy od spodni i nagle, jakby samemu sobie wymykając się z rąk, ruszył przez piach, rude igliwie, w trzasku gniecionych szyszek. Szparki jego zmrużonych oczu drżały w poszukiwaniu przepisanej odległości, na której wypadnie zatrzymać się. Drewniany ruch ramion sterował odętym korpusem, stopy padały pracowicie, jakby na ściółce leśnej odrabiały napis ważny i trudny.

Półkrąg żołnierzy wybuchł głośnym śmiechem.

Rostowicz zdawał się nic nie słyszeć, pochłonięty wykonaniem marszu.

— Rekrut Rostowicz, — objaśnił mnie sierżant.

— Spocznijcie! — rzekłem.

Odrzucił w bok nogę, ręce puścił wzdłuż. Gdy przestały się wahać i gdy wciąż nic nie mówiłem, twarz jego w nagle zapadłej ciszy zelżyła wszystkim zmarszczkom, rozprawdzając na właściwe miejsca niezwykle brzydotę rysów.

Pogięte czoło, pełne dolów i wzgórków, złane było potem, który spływał na szczecinowate brwi. Trudno było dojrzeć pod niemi oczy, osadzone w wąskich, szeroko rozstawionych, a ciasnych oczodołach. Nos bynajmniej nie regulował rozłożenia cieni, tworząc z policzkowemi kośćmi trójkątny system niesamowitych błysków. Dziurki nosa nie miały łukowatego wycięcia, po-

dobne raczej do czarnych rozporków, z których na dolną wywiniętą wargę zionął mozolny oddech.

— Czemu tak dyszycie? — spytałem życzliwie. — Czemu się pan tak pocisz, panie Rostowicz? Nie dojada się w wojsku, co?

Powieki rekruta rozwarły się, malutka, czarna źrenica stanęła czujnie w pośrodku białka.

— Powiedzcie prawdę, — głodni jesteście?

Ciepły fiołkowy blask przepelnił oczy Rostowicza:

— Jem dobrze, — odpowiedział, ciągnąc z ukraińska obcą stepową intonacją.

— Jesz, ale przecie nie tak, jak u mamy.

Z półkola żołnierzy wysuplały się szydliwe śmiechy. — Ten ci musi mieć mamę, cholera mnie bierze!

Pytałem dalej: — No, powiedz, w domu było lepiej?

Przestąpił z nogi na nogę i podając ku przodowi twarz, na której przechylał się uśmiech radosnej beztrojski: — Niema domu, — niema mamy. Jedno jest tylko teraz, — sitwa.

Chcąc jak najprędzej nauczyć rekrutów solidarności, zwracaliśmy baczną uwagę na dobre urządzenie kapaństwa i zsolidaryzowanie rekruta z sitwą, to jest z tym przyjacielem w szeregu, z którym żołnierz razem chodzi, razem czyści broń, dzieli jedzenie, naprawia mundur i t. p.

— A któż jest twoim sitwesem?

Rostowicz zmarszczył czoło, odął się, poczem wrzasnął wiernie: — Legjonista Bylewski!

Półkolem żołnierzy wstrząsnęła rykliwa wesołość.

Zwrócił się ku kolegom, potem ku mnie. Jął znów osiadać na samym sobie ostrożnie i wygodnie. Gdy

zwały krępej postaci pewnie już wzajem na sobie poległy, wysunął naprzód roześmianą twarz. Ze ściśniętych zębów błysnęła żuta w ustach słomka.

Sierżant Trepka powstał i zawołał daleko w głąb zagajnika:

— Bylewski!

Z pod czarnych krzaków jałowca wygramolił się długi blondyn i rutynowanym krokiem przywędrował przed majestat Treпки.

Trudno było o lepszy wybór sitwy dla Rostowicza.

Napamięć umieliśmy wszyscy tego Bylewskiego, który od początku wojny, mimo, iż nie był tchórzem i doskonale znał służbę i uczestniczył w wielu bitwach, niczego się nie dosłużył, zawsze sentymentalny, zmęczony, piszący moc listów, wiecznie żegnający się z jakimiś znajomymi, których miał wszędzie bez liku, biednych, ugniecionych, czy wygnanych.

Obecność jego wprawiła Rostowicza w widoczne zakłopotanie. Napoły trwał sztywno przed nami, przed swą władzą, napoły wyciągał się serdecznym poruchem kanciastych boków w stronę swego sitwesa.

Gdy Bylewski zrównał się z rekrutem, któryś z żołnierzy nie wytrzymał i wrzasnął: — Morowa z nich para, panie poruczniku!

Para była w całym tego słowa znaczeniu morowa. Jeden krępy, przysadkowaty i zjeżony, jak oset, — drugi, niby kłos wysmukły, chwiejny i gibki.

— Więc wy jesteście sitwa?

— Tak jest, panie poruczniku, — odpowiedział Bylewski, utwierdzając w moich oczach powolne spojrzenie blado-niebieskich źrenic.

Gdy odchodził w cień swego jałowca, Rostowicz zaciskiem kosmatych palców potwierdzał kroki swego urzędowego przyjaciela, kiedy zaś Bylewski wyciągnął się w krótkim cieniu krzaków, ruch palców rekruta ustał.

— Powiedzcież mi, Rostowicz, — pytałem dalej, skąd jesteście?

Nie odpowiadał.

— Jaki wasz kraj? Gdzieście się rodzili?

Żrenice zawahały się, poczem, utkwione w górę, łagodnym ruchem spływać jęły po ogromnym stropie nieba.

— Nie wiemy, — westchnął wreszcie, skubiąc szeroką wargą niepewne brzegi słowa, — nie wiemy, gdzieśmy się rodzili.

— Nie masz rodziców?

— Nie.

— I nie wiesz kto cię rodził?

— My byli w Wilnie ostatni czas, — pod germańcem.

— No więc, któż ty jesteś? Katolik, prawosławny, tatar, żyd?

Ciężkie ramiona ruszyły pod górę.

— On nie ma żadnej wiary, — odezwał się wzgardliwie ktoś z szeregu, nie wie jeszcze po jakiemu mówi!

Barki podeszły wyżej i właśnie, jakby to ich ruch wypchnął z szeroko uśmiechniętej gęby rekruta cieniutką, przeżutą słomkę.

— Więc nie wiesz, kto jesteś?

Oczy rekruta szukały między drzewami i wśród nas,

i w piachu i w granatowych garsteczkach fali rzecznej, i na wietrze.

Pośpieszył mi z pomocą sierżant Trepka. — Rostowicz, gdzie służysz?!

— Służę, — w piątym pułku piechoty Legionów.

— Kto jest dowódcą pułku?

— Dowódca pułku jest, — szło coraz głośniejszą, mechaniczną, — pan pułkownik —

Trepka machnął ręką: — Skądście się wzięli w pułku?

— W pułku wziął się, — czekał Rostowicz, — bo jeść nie było co!

Żołnierze tarzali się na trawie ze śmiechu.

— Tak jest, panie poruczniku, — tłumaczył sierżant, — on nic innego nie powie. Nie zna rodziców, trudno zrozumieć, po jakiemu mówi, skąd jest; dostaliśmy go z wileńskim transportem rekrutów.

Pogięte czoło Rostowicza zaległy cienie. W oczach jęła się odbywać mętna praca światła, наконец wystrzelił nieoczekiwany okrzyk:

— Bagatyrskie Legjony!!!

— Niech ci będzie na zdrowie.

Oblizał dolną wargę, wykonał ukłon i zaczął odchodzić. Była to czynność bardzo złożona, pomieszana z osobliwym napięciem pleców, na których czuł spojrzenie władz; czynność pełna dumy, a wraz pokornej chęci przypodobania się kolegom.

Wzięli go między siebie, oklepali ciężkimi łapskami, dali papierosa. Długą chwilę cieszył się, ciągnął dym po kawalersku, udawał psa, kota, osła, różne zwierzęta i ptaki. Wtem, jakby sobie przypomniał, że został dziś

wyróżniony szczególnie ważną rozmową z władzami. Podniósł się szybko, wprost na głowy kolegów otrzepał z igliwia mundur i stanął zbożnie obok kozła z karabinami.

— Rostowicz, — wołały znowu wygi kompanijne.

Nie słuchał, otrząsał się skromnie z niesfornych głosów, wodząc za władzą szparkami wiernego spojrzenia.

Czuło się jego wzrok na rękach, na mundurze, na butach.

— Do cholery mnie doprowadzi ten rekrut, — zachnął się Trepka.

— Bo co?

— Bo to, panie podporuczniku, nie jest człowiek — a zwierzę. Przyszło to do pułku nędzne, gołe, z głodu zdychające. Taka przecie u nas ciężka służba, a ten cieszy się ze wszystkiego i tyje. Tyje w oczach! Po każdym żarciu mu przybywa. Jak dziś na obiad zje, to już popołudniu ma to żarcie na gębie nowem sadłem wypisane. I wszystko robi, co mu zadasz. Każdą orkę. Posłuszne toto, jak zwierzę. Takie posłuszne, — że nie do wytrzymania cholera. To nie jest człowiek, panie podporuczniku, — to jest masło!

Nie miałem czasu słuchać, odpoczynek się skończył. Jeszcze przed obiadem musieliśmy przerobić rzucanie ręcznymi granatami.

Było to ulubione ćwiczenie kompanji. Wśród dużej polany zagajnika dzieliło się żołnierzy na dwie partje. Każda z nich zajmowała wykopaną przez saperów pozycję i drewnianymi pociskami obrzucała stronę przeciwną. Ryku, wrzasków, harmideru było przy tem co niemiara. Żołnierze przenosili ogień, prowadzony dREW-

nianemi maczugami, ze skrzydła okopów na skrzydło, wykonywali ataki, salwy, skombinowaną napaść i obroń. Dochodzili przytem do takiej zręczności, że mogli przez kilka minut pozostawać w ukryciu, podczas gdy nad głowami od jednej strony walczącej do drugiej utrzymywał się, niby półkoliste sklepienie, nieustanny lot rozpędzonych „granatów“.

Dziś ciągłość rzutu rwała się. Białe maczugi przełatywały wciąż ku jednemu skrzydłu, bijąc w to samo miejsce tak silnie, aż się kurzawa nad niem unosiła, podobna do kurzu prawdziwej bitwy.

Trepka przerywał ćwiczenie, obydwu stronom rozdzielal po równości drewniane maczugi, znów otwierał ogień drewnianych granatów ręcznych i znowu kończyło się tem samem. Ciężki bieg rzutów kołysał się z początku miarowo nad walczącymi, po chwili jednak wszystkie paluby różnęły w to samo miejsce.

— Bij! Bij! — huczało wzdłuż okopów.

Z kąta, w który godziły pociski, nikt się już nie bronił. Na błysk sekundy wychyliły się jeszcze rozczapierzone palce, i ostatni raz trysnął niesamowity wrzask.

— Co się tam stało?! — wołał Trepka.

Z rozbitego okopu, odwalając na boki całe kupy palub, wyłonił się powyżej piersi — Rostowicz. Jego skrzekliwy śmiech wprowadził w zdumienie całą kompanję. Śmiał się, ręce mając pokrwawione, wargę rozciętą, oczy straszliwie podbite.

Zakurzony, utyłany w piachu, podobny był do ziemnego balwana o twarzy, zagniecionej z gliny, mułu i krwi.

— Co się tam dzieje?! — krzyczałem, zbiegając pośpiesznie.

Rostowicz wylazł z dołu i między wrogami okopami okręcał się wolno dokoła. Już się nie śmiał, a tylko, jak ludzie prości, gdy szukają czegoś w pamięci, mruczał donośnie.

— A moja sitwa?! — ryknął nagle. — Też pobita?!

Z przeciwległego okopu wychyliła się roztargniona twarz Bylewskiego.

— Znaczy zdrów, — moja sitwa!!

Wypadek z granatami ręcznymi uporządkował stosunek kompanji do Rostowicza. Żołnierze uznali go oficjalnie za dobrego kolegę, wyręczając się pocziwym dzikusem przy każdej sposobności.

Zastępował wszystkich na dyżurze, roznosił raporty pod podpisu, zamiatał, cerował, szedł do skrobania ziemniaków, pompowania wody. Nie można powiedzieć, by zastępstwa, których się podejmował, trudziły go nadmiernie. Znał się na każdym rzemiośle, po drugie — otaczał zabobonną czcią wszystko, co się tyczyło służby. Każdą czynność wypełniał z żarliwym natchnieniem.

Gdy czyścił buty swoich kaprali, można było powiedzieć, jak ślina puszcza mu się z otwartych ust na widok glancu, który wreszcie puszczały stare przyszwę. Gdy w kuchni szorował miedziane garnki, można go było złapać, jak się przegląda w wypucowanej pokrywce i, głaszcząc polerowane brzegi, nadaje swej pokraccznej gębie srogi wyraz twarzy sierżantów.

Gdy roznosił książkę raportów, ścisnął ją w rękę, że piętna potu zostawały na ceratowej okładce. Wrę-

czając koperty z napisem „tajne“, zamykał oczy i robił wtył zwrot, by oko jego nie padło przypadkiem na zakazane pismo.

Skrycie oddawał honory oficerskim koniom. Cóż mówić o samych oficerach!

Gdy rozmawiał ze smukłym dowódcą kompanji, jak stęsknione zwierzę zdawał się obwachiwać postać władzy. Gdy rozmawiał z dowódcą plutonu, wybierał między „postawą zasadniczą“, a krótkim porykiem najwierniejszego śmiechu. Przed kapelanem pułkowym mało brakowało, by klękał. Do dowódcy bataljonu naszego nie chciał nigdy iść, a na widok dowódcy pułku chował się tak, że nie można go było znaleźć.

Żołnierze cenili cześć i zdumienie, jakie Rostowicz żywił dla tajemniczych urządzeń zorganizowanego życia wojskowego, natomiast podoficerów doprowadzała wierność rekruta do pasji.

— Bo ja mówię, — przekonywał czcigodne szarże sierżant Trepka, — by ludzie mieli na świecie jak sami chcą! Nato jest ten cholerny ogień wojny i nasza marna krew poto się może leje?! A on? On zawsze chce, jak ja chcę! Pies! Rozumiecie? Pies, — nie człowiek.

Nie można powiedzieć, by stary, dzielny Trepka dręczył Rostowicza, ale doświadczał go wszechstronnie. W krótkim czasie cała kompanja brała już udział w tem niesamowitem nieporozumieniu. Rekrut drżał coraz posłuszniej i wierniej na widok sierżanta, sierżant zaś na widok rekruta niejednokrotnie zapamiętywał się.

Oto przy sobotnich oględzinach rynsztunku zostawił Rostowicza z uniesioną dla pokazania podeszwy nogą tak długo, że kompanja kichała z tłumionego śmiechu.

Rostowiczowi wszystkie żyły na skroniach drżały, ale w oczach kwitł niezmiennie wierny fiolet pokory.

Trepka patrzył, — jak gwoźdźmi.

Oto przy przeglądzie broni — brali się na milczenie.

Trepka wlepił oko w lufę karabinu i patrzył pod światło bez końca, podczas gdy Rostowicz oddychał coraz głośniejsze, — aż wkońcu szum zaczął mu z piersi wychodzić, a skronie oblał pot.

Zdaniem doświadczonych podoficerów, — jakoby się także brali na charakter.

Trepka bowiem, widocznie, aby się wreszcie domacać, — czego Rostowicz chce, — przydzielał go do wykonywania kompanijnych egzekucyj.

To Rostowicz musiał pilnować kolegów, zamkniętych za przetrzymanie urlopu w piwnicy o chlebie i wodzie. To on musiał żołnierza ze swej sekcji, który ukradł chłopom krowę, wiązać w kij.

— No i co, — zaszedł go Trepka niespodzianie, oglądając przedtem podejrzliwie dyby delikwenta, — no i co?

— Pan sierżant dobrą szkołę daje, — zaśmiał się Rostowicz. Równocześnie z małych, bystrych oczu tryśnięły mu lzy okrągłe, świeże, jak u dzieci.

— To ma być człowiek?! — filozofował sierżant, opowiadając później zdarzenie na brzegu Narwi, podczas gdy żołnierze zażywali regulaminowej kąpieli, to jest cholera, — masło nie człowiek, — masło.

Tu, na piaszczystym wzniesieniu, przed wstęgą błękitnej rzeki mógł nareszcie podoficer doświadczyć choć odrobinę tak pożądanej samotności. Żołnierze kąpali się pod jego czujnym okiem, on zaś, nikomu już nie

potrzebując świecić ustawicznym przykładem, rozwał się, kurzył papierosy i gadał swobodnie o wszystkim naraz.

O kompanjach niemieckiego rekruta, które z przeciwnego brzegu na gwizdek pędziły do wody i w szyku, niczem różowy mur ludzki, zapadały się w rzekę. O innych kompanjach niemieckich, które już ubrane wracały pod górę, wśród łąk, z kamiennym śpiewem „In der Heimat! In der Heimat!“

— To już wolę takiego drania Niemca, — rozwał Trepka, — tu ci śpiewa „in der Heimat“, a do nas młode ich szczeniaki rekruckie przylatują, żeby się przebrać „za legionów“... Czy ty wiesz, co za jeden, taki Niemiec? Ma to na gębie napisane, czy tchórz, czy prowokator? Nie wiesz. Czterech ich już było u nas z taką prośbą. Zgody się nie dało, a nazajutrz, przed wymarszem, — na front zachodni mieli iść, — powiesili się wszyscy czterej. To już jest coś, jakiś charakter, — nie?

Gwarzyli o tych kompanjach niemieckiego rekruta, o wszelakich frasunkach, o dziwkach, co tu niedaleko namiot se rozbiwały i przyjmowały, przyjmowały, — morale zdrowie mają.

Potem, wydawszy gwizdek do powrotu z wody, szarże milkły i nim się żołnierze odziali, jedynym na świecie zapatrzeniem twardego oka podoficerskiego wiodły po piachu, po różowych rekrutach w lgnące objęcia koszul, gatek i wszelakiej bielizny omotanych.

Gapiły się na wodę, która oto krasy się pozbyła, farbę straciła i chmury odbija teraz szare, brzuchate.

— Od zachodu idą, na burzę.

Ciężki zwał mroku zawisł nad brzegiem, z którego wystawały bastjony porosyjskiej fortecy. Białoczarne chorągiew niemieckiego dowódcy raz wraz zrywała się jakby do lotu z pomiędzy złotych kopuł cerkwi.

Sierzanci uradzili zgodnie, że trzeba spieszyć, — idzie burza. Kaprale zbiegli co prędzej, kończyć już z tą kąpielą.

— Już was tu niema, prędzej, już was tu niema, — poganiały wzdłuż niegotowych szeregów ostre głosy.

Drobny popłoch wywracał liście sąsiedniej wikliny białą podszewką do góry. Migły, jakoby wystraszone, w szumie trawy, która pospołu z długim blaskiem wydała z siebie nagle szum posuwisty.

Błąkał się, tracił na wydmach, a oto już gałęzie wszystkich drzew zaczesał w jedną stronę.

Nad kopułami cerkwi mignęła błyskawica. Kapral służbowy zameldował sierżantowi, że kompanja gotowa czeka.

— Odprowadzić do koszar, przyjdę później! — Trepka nie zważał teraz na kompanję. Bystremi oczami wypatrzył na brzegu, w załomie piasków i wiklin coś niezwykłego...

Miedzy dwiema kupkami ubrań, na podobieństwo handlarza, który cierpliwie kiwa się wśród towaru — siedział Rostowicz, — nieposłuszny komendzie! Zawsze dotąd wierny, potulny, teraz odłączający się samowolnie od kompanji!

Twarz Trepki zwężyla się, przyjmując podobieństwo ptasiej głowy. Chrząknął, — flegma zatkała mu gardło.

Jął zstępować przez trawę, ku rzece, — w stronę

brunatnych, czarnym włosem zjeżonych pleców Rostowicza.

Sierzant patrzył tak ostro, tak ściśle, że mu powieki nie drgnęły ani w blasku błyskawic, ani w pierwszym huku pioruna, który z strasliwym rozgłosem pędził po wzdętej wodzie.

Coś się miotalo na rzece, machając ramionami. Już to spostrzegł Trepka, litość go zdjęła, już miał biec na ratunek, — gdy na brzegu kosmate plecy Rostowicza wyskoczyły w górę. Szalony gwałt targał nim na wszystkie strony, aż oto nagle pomknął rekrut Rostowicz czarną głową przeciw wichrowi, przez kurzawę ciężkich kropel i piachu.

Sierzant szedł spokojnie na spotkanie. Właśnie stanął na drugiej belce, na której zazwyczaj czuwał podoficerski dyżur kąpiel, gdy Rostowicz dopadł deski i ślepy, szlochający przerażeniem, szarpać ją począł ku sobie.

— Co to jest? — krzyknął Trepka kilkakroć, nim zdołał przekrzyczeć skowyt rekruta i rozgłos coraz gęstszych piorunów.

Rostowicz runął mu do nóg.

— Topi się, — szczekał, — topi, topi!! Topi!!! — Wił się na belce, stawał na czworaki, znów padał w piach, okrwawionymi zębami gryzł wylamane kanty, szarpał belkę sierżantowi z pod nóg.

— A tyś czemu rozkazu nie posłuchał? — zgrzytnął Trepka.

— Rozkaz, rozkaz, — Rostowicz wył.

— A tyś czemu rozkazu nie posłuchał, — trzasnęło z ust Trepki mocno, jakby ktoś karabin repetował.

Bronzowy, czarnemi włoskami zjeżony grzbiet dzikusa uniósł się. Z pod skulonych bark wyrzała twarz, pogięta, nigdzie nieobecna, we wszystkich kierunkach gromadą skurczów spływająca, zalana łzami.

— Panie sierżancie! Topi się! Deskę!!

— A tyś czemu —

— Panie sierżancie — wstyd! Sitwa!! Moja sitwa!! Deskę! — Tfu! Stary sierżant — boi się! Tfu! Tfu! Takie bitwy opowiada — a tchórz! Truss! Tchórz!

Jedna pięść Trepki spadła na pogięte czoło rekruta, druga naodlew w szczękę. Rostowicz padł, — przycichł. Ale nie czując nowych ciosów, skurczył się drapieżnym susem skoczył Trepce do gardła. Runęli na ziemię, splątani w jeden kłęb, rozwrzeszczany w huku piorunów, śliski od potoków ulewy, to siny w mroku, to złoty w blasku błyskawic.

Rostowicz wywinął się z uścisków, po piachu, na czworakach, dobiegł do rzeki, przerażeniem spojrzeniem omiółł mętne fale i, wyjąc wniebogłosy, popędził w stronę koszar. Półnagi, w porwanych gatkach przeleciał przez łąki, runął na kopiec siana. Z krzykiem nieludzkim wytarzał się, i pędził dalej — do koszar.

Warta nie zdążyła wystąpić z budy, niezatrzymany gnał na osłep kamiennymi ulicami wzdłuż budynków. Półnagi, z sianem w zwichrzonych włosach, potarty piachem i ziemią, wpadł do oficerskiego kasyna, gdyśmy jedli podwieczorek.

Wszczął się rumor w przedpokoju. Rumor, krzyki, uderzenia. Kucharze, ordynansi, jacyś na coś wiecznie w kasynie czekający żołnierze zastąpili Rostowiczowi drogę. Roztrącił ich rozpędem.

Zerwaliśmy się od stolów, gdy wpadł na środek jadalni.

Zapanowała grobowa cisza. Słyszał się za oknami dobitnie plusk ulewy, od strony kuchni nękający trzask nie brzęk naczynia.

Rostowicz sprawy sobie nie zdawał, gdzie się znajduje i co robi. Kwilił do samego siebie wątlm, tajemniczym głosikiem dziecka i drżące pięście pchał w zamknięte oczodoły.

— Z którego to bataljonu człowiek? Z której kompanji? — rozległ się namaszczony głos naszego pułkownika.

Jak z topielców woda, tak właśnie chlustać jęły z obrzękłych ust rekruta słowa nieznane, różnojęzyczne, niewiadomo gdzie, skąd, jak pozbierane, polskie, rosyjskie, tatarskie, po dwa, po trzy, haustami, pryskiem, krótką, gwałtowną strugą.

Niema w takich razach nad naszego dowódcę kompanji, Lenia. Powrócił do stołu spokojnie, nalał kawy do filiżanki i podał ją Rostowiczowi.

— Napijcie się.

Rekrut pił chciwie, dokładnie.

Zwierzęta tak piją, — ustami, gardłem, rozszerzeniem żrenic, zmarszczką czoła i twardym spokojem grzbietu. Wypiwszy, ustawił filiżankę obok siebie na podłodze, przyjął postawę zasadniczą i zaczął: — Ja melduję —

Nie mógł dokończyć, łzy popłynęły mu z oczu.

— Pytam, z której to kompanji żołnierz? — rozległ się znów czcigodny głos naszego pułkownika.

— Z mojej kompanji, — odpowiedział usłusznie Leń. — Rekrut Rostowicz.

— Niech mówi.

Z porwanych płaczem, przemoczonych słów mieliśmy się dowiedzieć o zajściu. Ale właściwie niczego nie dowiedzieliśmy się. Rostowicz plótł niezrozumiałe o sitwie. — Cekał, aż się Bylewski wykąpie. Pilnował jego rzeczy.

— Ja rekrut, onże stary chrabry żołnierz, Bylewski! No potem!

Słowa się rozleciały, a z uniesionych piersi rwał na całą salę suchy skowyt.

— Sierżant Trepka! — Rostowicz sto razy dochodził w opowiadaniu do sierżanta Trepki, tu tracił się, gubił i zaczynał krzyczeć.

Żołnierze skupieni w drzwiach rozstąpili się i wszedł zmoczony, oślizgły, jakby dwa razy cieńszy — sierżant Trepka. Zatrzymawszy się po prawej stronie, stuknął obcasami i czekał.

— Co on gada? — spytał cierpliwie Leń, — co on gada, sierżancie, o was, o Bylewskim?

Rostowicz drżał na całym ciele, podczas gdy Trepka wedle wszystkich przepisów krótko i zwięźle meldował o zdarzeniu.

— Jako że nastąpiła niesubordynacja, nie w drodze służbowej, a czynnie na miejscu przeze mnie ukarana. Przyczem utonął w rzece żołnierz Bylewski. Dopłynąłem i trupa wydobyłem. Leży na brzegu. Wysłałem po niego sanitariuszy. W mundurze Bylewskiego były listy.

Trepka podał Leniowi małą, niebieską kopertę i zakończył, że się z Rostowiczem melduje do raportu.

Na całą kompanję padł od tego wydarzenia urok tak osobliwy, że przyćmił śmierć Bylewskiego a nawet całą uroczystość pogrzebową.

Wydarzyła się przecie rzecz niezwykła! Rekrut, widząc tonącego kolegę, skoczył o ratunek do starego, dzielnego sierżanta, a ten zamiast pomóc, dał rekrutowi po zębach.

Można było, jako łagodzącą okoliczność uważać, że Bylewski popełnił samobójstwo. List w niebieskiej kopercie mówił o tem wyraźnie i musiały tam być bardzo służbowe dane, skoro ten prywatny papierek załączono do aktów kancelarji pułku.

Z drugiej jednak strony samobójcy często cieszą się kiedy ich wyratować i gdyby Trepka, zamiast bić dzielnego Rostowicza w zęby, skoczył razem, — możeby się teraz z biednym Bylewskim piło kawę jakgdyby nigdy nic?

Sprawa gmatwała się tem bardziej, że w kompanji wiedziano o złości, jaka jest między sierżantem a rekrutem. A przecież Trepka zupełną świnią nie był, bo dawszy w zęby, popłynął przecie potem w czasie burzy, a że już wywlókl z wody tylko trupa, to nie jego wina. Ostatecznie jakby co do czego, to w trakcie takiego interesu sam mógł też utonąć!

Żołnierze szukali Rostowicza, chcieli się jeszcze raz wszystkiego dowiedzieć.

Nie można było wyciągnąć ani jednego słowa. Siedział skulony na tapczanie i drżał, — jak chore psy. Koledzy nanieśli chleba, kielbasy, papierosów, kawy. Chcieli przekupić.

Przez pewien czas stały te dary nienaruszone. Na-

koniec Rostowicz zdecydował się, pracowicie pojadł przysmaki, papierosy schował do czapki, wyłopał kawę — i uciekł.

Goniono za nim po wszystkich strychach, piwnicach — napróżno. Jedni bali się, że sobie w nocy życie odbierze, drudzy, że zakradnie się do podoficerskiej izby i zadusi Trepkę. Uspokoila o świcie wszystkich zmiana warty, twierdząc, że Rostowicz siedzi przy zwłokach Bylewskiego.

— Co robi?

— Siedzi.

— Gdzie?

— W kaplicy pułkowej.

Rano wrócił i wesoły, uśmiechnięty zgłosił się do robienia trumny, — jako kwalifikowany stolarz. Chodziliśmy go oglądać przy robocie, żeby nie wyczynił jakiegoś kawału, tem bardziej, że pogrzeb, o którym wiedzieliśmy już całe miasteczko, miał się odbyć tego samego dnia, nad wieczorem.

— Co za dziwne bydlę, — dziwili się żołnierze, wzruszając ramionami.

Istotnie bowiem, przy tej osobliwego gatunku stolarskiej robocie Rostowicz nie tylko nie okazywał żadnego smutku, ale jaśniał radością. Skrzętnie obcinał deski, latał, żeby nigdzie żadnej szpary nie było i nawet nucił coś, huśtając wargami pęk gwoździ, przyskrzynionych w zębach. On, — taki zawsze zgodliwy i powolny, nie mógł się przy tej robocie pogodzić z drugim rekruckim pomocnikiem i tak się rzucał, wydziewiał, — aż został sam.

W czasie obiadu odeszli wszyscy widzowie. Rosto-

wicz czekał, póki nie znikną za węglem budynku, — całą tę stolarkę wykonywało się z tyłu za kuchniami pułkowymi. Oczekawszy, cisnął daleko piłę i, żując gwoździe w zębach, siadł na dnie trumny.

Jak gdyby czekał tu na coś. Gdy nie przychodziło, położył się i wyciągnął na deskach, oczy utkwwszy w niebo.

— No i co? — rozległ się twardy głos w pobliżu.

Rekrut siadł, gwoździe wypadły mu z ust. Przy wieku stał sierżant Trepka.

Południe lało żarem po niebie, cisza iskrzyła się na piaskach. Patrzyli, oczu wzajem nie mogąc od siebie oderwać.

Rostowicz powstał wreszcie, w żrenicach rozpląnął mu się fiolet służbowej wierności: — Pan sierżant dobrać szkołę daje! — No, — tylko...

Trepka trwał bez ruchu w starym, zwietrzałym mundurze, jak ulany z ołowiu. Nie spuszczał oczu z ciemnych dołów na pogiętym czole żołnierza: — Widzisz, Rostowicz, z pięściami skaczesz na sierżanta! I wiesz co? I teraz jesteś dopiero człowiekiem dla mnie!

— No, tylko, — wysnęło się z grubych warg Rostowicza.

— No co? — podchwycił sierżant niecierpliwie.

— No, — Rostowicz zachłysnął się, — ty mu jednej deski pożałował, a ja mu dziesięć daje!

Trepka wzruszył ramionami, ręce wsadził do kieszeni luźnych portek i odszedł.

O godzinie szóstej, jak to było powiedziane w odprawie i w miasteczku ogłoszone, ruszyliśmy z koszar, bitą drogą przez las, na most, mimo sztyldwachów nie-

mieckich. Orkiestra grała naszego ulubionego marsza żałobnego, różany blask wieczoru przydawał dźwiękom brzmienia, siejąc je przez wysokie, pełne ptaków powietrze i przez niebieską wodę rzeki i przez pnie spławem idące stąd, na obcą, daleką służbę.

Za mostem dopiero, — bo Niemcy nie dawali cywilom przechodzić bez przepustek, — czekała na nas ludność. Świecki ksiądz przyłączył się do naszego kapełana. Tu, na wóz, z śmiercią Bylewskiego przez siwki bataljonowe ciągnioną, rzuciła polne kwiaty szkółka męska i żeńska. Potem nauczycielki parasolkami sprawiły szyki dziecięce. Ludność ustawiła się ztyłu i tak, niby pod perlistą wstęgą, pod pasmem rubinowych chmurek, naukos niebo przepasujących, doszliśmy na stary cmentarz.

Ani tu, ani podczas drogi, ani podczas modlenia, śpiewania, kropienia, w szumie cmentarnego gąszczu nikt właściwie nie myślał o Bylewskim. Gorączkowała nas „sprawa“, z jaką jutro staną sierżant z rekrutem do raportu.

To też, gdy po całym obrzędzie wyskoczył na olcho-we gałęzie, dokoła krzyża wzdłuż świeżej mogiły rozsłane Rostowicz i gdy wrzasnął, bijąc się w piersi, — moja sitwa!!! — żołnierze usta mu zatkali.

Powstało z tego na grobie wielkie wymachiwanie, rwetes i awantura.

— Jutro będziesz gadał, przy raporcie! Przy pułkowym raporcie, nie tu, — rozumiesz?!

Raport odbywał się za dowództwem pułku, przed składem papy i bębnow kolczastego drutu, które za-

ścielały całe pole, uniemożliwiając dojście niepożądanym świadkom od strony koszar.

Ja byłem z ramienia naszej kompanji, Leń zastępował dowódcę bataljonu. Czekaliśmy przed gmachem dowództwa na jakimś murku.

— Tak, nieprzyjemna rzecz, — machał Leń lakierowanymi cholewami nad pokrzywą.

Trepka milczał, śmiało patrzył w oczy wychodzącym z kancelarji, jakby siwemi żrenicami zaświadczał: patrzcie, to ja, stary sierżant, stoję do raportu za tchórzostwo.

Rostowicz nie zachowywał się tak pewnie. Nie przedstawiał wilgotnych rąk ocierać o spodnie, twarz szklila mu się, powieki opadały ciągle, jakby w nieprzepar-tem pożądaniu snu. Robił ciężko płucami. Przy każdym wydechu z półotwartych ust wysuwała mu się przeżuta słówka.

Leń wrócił z kancelarji i obwieścił winnym, że sta- wać będą po raporcie ogólnym.

— Rozkaz, — odpowiedział Trepka.

Rostowicz spuścił powieki i długo trwał z zamknię- temi oczyma.

Odbyliśmy wszystkie ceremonje, ukłony, oświadcze- nia i w trójkacie murów, zamkniętych drutem kolcza- stym, znaleźli się nareszcie winni, postawieni przed oblicze spokojnego majestatu samego pana pułkownika.

Długo stał przed nimi, lustrując twarze. Oczy wła- dzy szły przez czoła, spadały szczelnym naciskiem na brwi na oczy, usta, brody, przez szyję, piersi, kłamry pasów aż do stóp, — poczem błyskawicznie uniesione spojrzenie tonęło znów w żrenicach delinkwentów.

— Mówcie, sierżancie Trepka, — zakończył straszną chwilę pułkownik.

Postać sierżanta okrzepła w kamiennej martwocie. Mówił dobitnie, lecz pomiernie, ruszając wargami ani dłużej, ani krócej, oddany najwłaściwшему wykonaniu czynności. Powtarzał jota w jotę, co w kasynie.

— Nastąpiła niesubordynacja, czynnie przeze mnie na miejscu ukarana.

Pułkownik wyciągnął się sztywno w górę, Rostowicz, rozelśniony nagłym uśmiechem, wyrzucił dłonie naprzód.

— Stać! — osadził dowódca. — Pokolei. To nie jarmark!

— No i co jeszcze macie do powiedzenia, sierżancie?

— Nic, panie pułkowniku. Mogę tylko powtórzyć, — nastąpiła niesubordynacja, czynnie przeze mnie na miejscu ukarana.

— Nie trzeba powtarzać. — Pułkownik zachmurzył się. — Teraz wy, Rostowicz! Co macie do powiedzenia?

— Ja?...

— No tak, wy, — rekrut Rostowicz.

— Nic nie wiecie o tem wydarzeniu?

Góry namysłu spiętrzyły się na pociętem czole żołnierza. — Ja sitwa, — zaśpiewał cieniutko.

— Człowieku, — rzekł serdecznie pułkownik, — pytam o wydarzenie?!

Rostowicz, nie odwracając prawie głowy, utkwiał wzrok w stalowych oczach Trepki. Patrzyli na siebie długo, zda się wzajemnie wzrokiem swym poparzeni, — drżący z nadmiernego wysiłku.

Zatrzymany w piersiach dech wyprzął się z ust Rostowicza i, zmarszczony rzewnością, znikł w słońcu.

Oczy przepełniła znów fioletowa wierność. Na szczecinowatych brwiach perlił się pot.

— Sitwa, — zaczął Rostowicz, — kładąc to słowo ciężko u początku przemówienia. Wpatrzony wiernie w sierżanta, zeznawał słowo po słowie, ciężką, nieskładną logiką, — przeciw sobie...

— Ja skakał z pięściami, z zębami, z pazurem na sierżanta. Na pana sierżanta... Tak było! ja gryzł!!

— A czemuż to skakaliście z pięściami na swego sierżanta?

Trepce żyły wystąpiły na skronie, grdyka jęła pracować głośno.

— Ja skoczyłem na swego sierżanta... — Rostowicz umilkł. Odął się, spuchł od ciężkiego namysłu. — Skoczyłem na swego sierżanta, bo stał na belce.

— Bo stał na belce? — Przenikliwy śmiech pułkownika frunął aż ku żółtym mleczo, kwitnącym za kolczastemi drutami. — No to, jeżeli jutro mnie zobaczycie na belce, też z pazurami skoczycie?

— Nie, panie pułkowniku.

— Więc?

Rostowicz utkwiał wierne spojrzenie w zaostrzonych rysach Trepki.

— Nacóż wam była potrzebna ta belka?

— Naco była potrzebna? Nie wiem...

— Nacóż wam była potrzebna ta belka, pytam raz jeszcze! — krzyknął pułkownik.

Cisza. Długa, przestronna, mierzona u swych brzegów biciem spłoszonego serca.

— Belka było potrzebna do ratowania człowieka!! — udarł się nagle Rostowicz.

Udarł się tak rozgłośnie, straszliwie, że zatrzęsło nim całym, — jakby się w środku tępej jego postaci oberwało wszystko.

I znów cisza.

Wtedy to w piersiach sierżanta jęło przenosić się z miejsca na miejsce. Wędrować — i rozdzierać. Aż wkońcu wargi zaciśnięte pękły i buchnął krzyk:

— Panie pułkowniku, tchórzostwa tam nie było. Do rzeki wskoczyłem. Topielca wydostałem. Lecz niesubordynacja, — to fakt. Czynn timer na miejscu przezemnie ukarana.

Rostowicz ucieszył się tym słowem niepomieranie. Rzekłbyś, pokorny pies podniósł swe miękkie łapska na wysokość piersi i, wachlując powietrze:

— Pan sierżant płynął i ratował —

Trepkę zmięło całego. Objął Rostowicza, przyciągnął go ku sobie i tak złączony, z zamkniętymi oczyma krzyczał na całe gardło:

— Tu, panie pułkowniku, — szło człowiek za człowiekiem. Wyznaję, — kiedym temu rekrutowi po zębach dawał, widziałem, — że tam ktoś w rzece tonie. Lecz, panie pułkowniku, ten rekrut tu obecny, Rostowicz, posłuszny zawsze... Posłuszny — jak to zwierzę. Więc kiedym raz zobaczył, że tak się przeciwstawia, — no to z uczucia, że będzie z tego żołnierz, że będzie z tego człowiek jakiś, — musiałem już spróbować: I dałem w zęby. Ale, co do sumienia wypadków samych, to widział, że tam ktoś w rzece tonie. To widział panie pułkowniku, — ryczał sierżant Trepka, — to widział!!!

Rekrut blady, jak ściana wymachiwał przecząco

dłońmi. Ale te dłonie kosmate zacisnął w swoich sierżant, do piersi je sobie przyłożył i wrzeszczał:

— To, panie pułkowniku szło, — człowiek za człowiekiem!!!

Dowódca zelżył wszystkim szwom munduru, przyćmił spojrzenie. Poczem jął mówić zrazu obojętnie, przedmiotowo. I coraz czulej, o sitwie, o przyjaźni żołnierskiej ale też i o czci względem sierżanta.

Już miał Rostowicz przymierzyć się do onej czci, jak ślimak do swej muszli, przycichł już, gdy mowa dowódcy krzepnąć jęła i grubieć.

Mogło zabraknąć słów od tak spartej gęstości wyrazów.

Gdy nagle gęstość pęka, sypią się z niej pioruny twardych szczerbionych słów pułkownikowych na tę głowę sierżanta.

Rostowicz płacze białemi, dziecinnymi łzami, — pułkownik już nie widzi owych łez.

Rostowicz krzyczy nagle, — on praw nasz sierżant, praw!!!

Pułkownik pali snopem ognistych spojrzeń zdyszanego sierżanta.

Wtedy nagle, — o dziwo! Rekrut szarpnął się, skoczył przed siebie i na drut i tu, niby zwierzyna w ostrą sieć upłątana — zawył. Szalał tu, miotał się, bił się pięściami w piersi, jakoby z nich wydierał jakąś okropność dziwną, świeżą, szaloną, nieusłuchaną, obcą wszelakiej dyscyplinie...

— Hola! Wyciągnijcie mi z drutów tego dzikusa! — zawołał pan pułkownik. Odwróciwszy się od skamieniałego w bezruchu sierżanta powtórzył pan pułkownik

jeszcze raz w otwarte puste, czarne drzwi kancelarii  
pułkowej:

— Hola, ludzie! Wyciągnijcie mi z drutów tego dzi-  
kusa! Hola!!

## MUSZTRA

Po wielu dniach odbytej kary wrócił sierżant Trepka do kompanji i objął obowiązki służbowe.

Dziś pierwszy raz idziemy znowu razem na ćwiczenia.

Nie odzywam się i nie przeszkadzam. Stoję pod drzewem koszarowego podwórza, opieram plecy o rozkwitłą gałąź i w ciszy ранnego słońca podziwiam, jak Trepka sprawia oddział.

Powiedzieć, że każdy ruch, najmniejszy gest, każde drgnienie odbywa się w myśl przepisu, — to mało, to nawet krzywda! Przepis jest płochą igraszką wobec tego, co robi Trepka.

Działa on w myśl nadziejskiej niejako, przedwiecznej harmonji postępowania sierżanckiego.

Żołnierze patrzą, słuchają i napawają się tą doskonałością.

Rostowicz modli się poprostu oczami.

Trepka stanął na miejscu, z którego będzie komenderować, ale które dotąd, póki sierżant milczy, jest jeszcze zwykłym, znikomem miejscem ziemskim. Nabiera ono stopniowo powagi, w miarę jak Trepka przeciera w sobie chrypę i rozgania zakrzepłe śluzy.

Jeszcze ta kępka udeptanej trawy może się minąć z powagą szanownego swego losu. Sierżant odwrócił się nieco i uznał za konieczne splunąć poza siebie.

Lecz teraz już za późno, — kępka staje się właściwą podstawą!

Trepka stoi na niej, zakrzepł sam w sobie i trwa nieporuszony. Jego stalowe oczy już naprzód świecą jasnością rozkazu, podczas gdy usta nie za głośno, nie za cicho z pomiernym żwirem srogości w nieodwołalnym głosie rzucają przez słońce ku wytrawnemu rzędowi starych mundurów najwłaściwszą komendę.

Szereg ją wykonywuje bez reszty, do dna, przepelnia ją gotowością posłuchu.

Jeżeliby coś drgnęło w niewłaściwym miejscu i czasie, oczy sierżanta Treпки zaszyby — białą *blachą* pogardy. Na to się nikt nie chce narazić, bo nikt tego nie zdoła znieść.

Na szczęście oczy sierżanta Treпки nie zachodzą blachą. Raz wraz polyska w nich rozkaz, gromem walący się z ust.

Chwila jest bardzo ważna: Po tylu dniach niepowetowanej rozłaki obejmuje sierżant swój oddział. Po tylu wiekach sierocych wraca oddział w ręce swego szefa.

Głos Treпки śmiga, jak rzemień, podczas gdy ostre, nieruchome uszy próbują doświadczonych ech.

Echa też okazują posłuszeństwo. Ani jedno nie zawodzi.

W porę odkrzyknęło cieniste powietrze z pod sosen, kwitnących w drugim kącie podwórza. W porę wytrysnął odgłos z pod kupy śmieci, zwalonych obok warsztatów. I w porę, gdy już kompanja twardym krokiem z pod koszar ruszała, wypełniły się otwarte rzędy okien hukami ostatniego rozkazu.

Wyszedłszy za obejście koszar, zawahaliśmy się nie-

znacznie. Czy w lewo bierzemy na plac ćwiczeń, — czy w prawo, ku rzece?

Widać ją było stąd, z rozstaju. Niespodziane podmuchy marszczyły gładką falę łąk, pędząc złote czuby pyłu z białych ławic piasku.

— Nad rzeką byłby przewiew, — pokwapił się Trepka.

— Dobrze. Chodźmy nad rzekę.

Sierżant odchrząknął i, jakby zawstydzony, rzekł skromnie: — Można powiedzieć, że nasza kompanja to same tygrysy.

Mijałszy zagajnik. Nowe szyszki kwitły na gałęziach złotymi płomykami, świetlista łuska Narwi drżała z za sosnowych igieł nieprzerwanym blaskiem przepływu.

Na łąkach obraliśmy miejsce i rozpoczęliśmy ćwiczenia.

Trepka pracował, — mówi się u nas, — jak anioł.

Podzieliwszy oddział na grupy i sekcje, do każdej przystąpił, każdą drobiazgowo pouczył. Żadnych wszakże czulości po tak długiej rozłace. Wiedziano przecie, że karę odbywał za tego Bylewskiego, — wiedział Trepka, że wiedzą...

Żadnych z kompanją fochów miłosnych, ale jakby się witał z każdym ruchem szeregowej służby, wzorowo przerabiając ćwiczenia, na pokaz, przed temi otogębami wybaluszonymi, przed rzeką, — światłem, — słońcem — całym światem.

Łąka zdawała się jęczeć od obrotów oddziału. Gorąco płynęło z nieba, rozcłonkowane tempa ruchów zgrzytały cicho przez powietrze.

Oznajmiam sierżantowi, że jeszcze piętnaście minut — i schodzimy z placu.

— No to sobie damy, — odpowiada, — trochę musztry w marszu, na zakończenie.

Kompanja chodzi gładko, jak pod sznurek, — Trepka krzyczy za szeregiem, aż mu żyły nabiegły na szyi a nos się okrył potem.

— To nie jest to, panie poruczniku! Nie tak moje tygrysy biegały dwa tygodnie temu. — Trepka uszy nastawił i słucha.

Szaro-niebieski grzebień maszeruje równiutko.

A oto już się zmienił w grubą gąsienicę. Zadrzała i znów skacze szary płot dwurzędu. Cień mu się poddaje, zabiegając z ukosa, wezbranym rytmem, świszcząc, dyszy trawa.

Nagle, ów płot na jedno drgnienie ugiął się, zadrzał i rozstał.

Trepka, dla niepoznaki przełknął wstydliwie powietrze.

Wracają, — znów w tem samym miejscu, zaraz koło jaskrów i splątanej seradeli szpara się w szeregu wyłamała i dopiero po sekundzie zrosła.

— Czucie, — krycie, — ryczy z pod dachu czapki rozgniewany sierżant. Bo mogą, — blisko już mają do doskonałości, a nie robią dobrze tylko dlatego, że nie chcą?!

Wracają, — znów to samo.

Szedł sobie dwurząd doskonale, — u nas się mówi poprostu, — jak anioł. Szedł sobie, miał już do samej doskonałości wcale niedaleko. Koło seradeli, której nie

było więcej, niż krowie raz do gęby, opodał onych małych jaskrów, znów zadrzało i pękło...

Dopiero po sekundzie znów się linja zrasta.

— Cholera, panie poruczniku!

Nic więcej Trepka nie powiedział, bo na taki wstyd starych tygrysów szkoda mu było więcej słów. Puścił się biegiem ku onemu miejscu grzesznemu na łące. Dobiegł i tu — niby kulą trafiony w brzuch, kucnął nagle.

Kucnął, na czworaka przycupnął, głowę wysunął ku trawie.

Jak pies.

Mało tego: On, wzór porządku oraz zachowania, ni z tego ni z owego macha stąd ku mnie ręką.

Mało tego! Macha i woła zapraszająco. — Panie poruczniku, panie poruczniku...

Podszedłem, — rzeczą starszego przebaczać młodszemu, oraz, aby zbadać przyczynę tak niezwykłego zachowania się wypróbowanej szarży.

Tuż przed brunatnymi łapskami sierżanta, w rozgiewie niskiej trawy, jakby wirował wkoło na tem samym miejscu wąski kosmyczek tęczy.

Mniej, niż tęczy!

Szczuplutki skrawek mgły, niewiadomo jakim cudem przedziwnym dotąd wśród słońca spiekoty zachowany na łące.

Nad tym przezroczystym obłoczkiem, niby w koszyk malutki splecionym, wyciągnęły się grube dłonie Trepki.

— Tu gniazdo ma! Tu ma gniazdo!!

Przykucnąłem.

Było to małe gniazdo ptasie.

— On se to zbiera, — dyszał Trepka, — jak mu się trafi, z futerka zajęczego, z pajęczyny. I ze starego paździoru. Z pylin, — puchów. Z niczego.

— Kto? — spytałem.

— Ano właśnie, jakże się to nazywa, jeśli mi z głowy nie wypadło?...

We dwóch tym samym rozumem niewiedzącym dyszeliliśmy nad przezroczystą srebrną cembrowinką gniazda.

— Panie poruczniku! — trącił mnie Trepka łokciem.

— Co?

— To będzie chróściel, — zagadał sierżant tajemniczym szeptem. — Tu samka jajka wysiaduje. A on lubi trzymać się wody. Żółty, mały ptaszek. Żeby tak bardzo latał, to nie powiem. Więcej gania, jak mysz między trawami. Albo na jakim źdźble powiesi się i buja, — chróściel.

Chrzęszcząc rynsztunkiem dyszeliliśmy nad gniazdem, które spało głęboko, przysłoniwszy białemi powiekami skorupkę przyszłość swoją niepewną.

— Tego chróściela w naszych stronach tyle razy goniłem, — sierżant urwał...

Chwyciliśmy się za ręce, by we dwóch nie stracić równowagi. Tuż nad nami lśniły błyszczące nosy żelazem wykładanych kolb. O trzy kroki maszerował w miejscu dwurząd kompanji a czerwone twarze żołnierzy rozciągały się od ucha do ucha w niemych śmiechu.

## NA FORCIE, — JUŻ PO WSZYSTKIEM

*Stało się dzisiaj w pulku coś, czego się nikt nie spodziewał, ani nie przewidywał.*

*Po skończonych zajęciach, jak zwykle w sobotę, siedliśmy wesoło do obiadu z miłą nadzieją dalekiej przejażdżki konnej. Znaczna część bataljonowych wierzchowców już przed zupą czekała pod kasynem, w cieniu rozkwitłej lipy. Dzień był słoneczny, z łąk wiało zielonym zapachem, niewysłowiona świeżość rozścielała się w ogromie czystego nieba.*

*Między drugim daniem a trzecim, jak zwykle w sobotę, przyjechała z odległej stacji poczta.*

*Listy, listy, — cały świat utęskniony na skraweczku papieru!*

*Listy, — koledzy z urlopów wracający, — nowiny.*

*— Jakiś kapitan czeka w bryczce na dole. — Ordynans naszego kasyna, ciężki przyglupi Kubik, podał pułkownikowi bilet.*

*Pułkownik przeczytał, zaczerwienił się, krzyknął, — moi panowie, nasz Wacek żyje! — i rzucił na stół wizytówkę.*

*Schwyciliśmy ją, przeczytali i tłumnie, ogarnawszy po drodze pułkownika, skoczyliśmy na balkon.*

*Pod lipą, w bryczce pułkowej siedział Wacek, dawno już przez nas wszystkich sówicie oplakany.*

*Razem, — cały korpus oficerski pulku, — krzycze-*

liśmy do niego, aż echo na dalekiej rzece brzmiało. Nic nie mówił, nie odpowiadał, jeno patrzył pod górę na pochylone ku sobie twarze i śmiał się.

Ale nie był to przecie śmiech tylko. Z rozwartych szeroko oczu płynęły mu łzy, na czole łamało się światło błyskami drżącego wzruszenia.

Z honorem i paradą wprowadziliśmy gościa do jadalni. Tu, na progu, pułkownik pocałował go uroczysto w czoło. Potem my, jeden za drugim, nuże ścisnąć, miętosić.

Poddawał się i biernie nastawiał ciężkozrotnym kadłubem. Waliliśmy go po łopatkach, więcej w tej chwili żądając ognia i wylania.

Nie mógł nas brać w ramiona, ani odplacać przywitania, jak serce dyktowało. Okazało się bowiem, że w niewoli, w szpitalach tamecznych obcięto mu lewą nogę i prawą rękę — za przedramię. Z medycynalnej konieczności — ratowania życia.

— A na jakichże teraz kulasach tutaj stoisz, człowieku? — krzyczał Kujon.

Wacek śmiał się, dumny, żeśmy od razu wcale nie spostrzegli.

Szczegółowe oględziny stwierdziły, że istotnie — lewą nogę w zaprasowanym spodniu ma sztuczną. Obmacaliśmy ją rzetelnie wzdłuż i w poprzek, w kolanie, w łydcę i przy biodrze.

— Nie byle co, panowie, nie żaden flak, ciało, czy też gnat, ale noga naukowa, — rozczulał się Kujon.

— A drogie toto musi być? Pewno z platyny! Masz, bracie, chleb zapewniony do końca życia!

Naukowa noga działała prawie jak żywa.

Wacek kroczył tam i zpowrotem, my zaś, rozstępując się, badaliśmy sposób działania nogi.

— Owszem, owszem, — cieszył się nasz kapitan, — hrabskiego dygu dodaje ci w chodzeniu. Nawet, zdaje się, cmoka?

Wacek nie był zadowolony z cmokania.

Orzekliśmy jednak, że to jest tylko kwestją gustu. Jeden będzie właśnie przepadał za cmokaniem, drugi je znienawidzi, — tych rzeczy nie można brać z nadto ściśle.

Zbadawszy nogę, zajęliśmy się ręką. Sprawa ta była jednak o wiele zawilsza.

Primo: Czy można dać komuś w gębę taką ręką i czy ewentualnie zalicza się to do obrazy honorowej? Secundo: Czy podanie, lub niepodanie takiej gumelastyki może stanowić obrazę, a jeżeli stanowi, to którego stopnia?

Inna rzecz, że sam przedmiot, wyrobiony, — jak cacko.

— Tak, tak, są jeszcze na świecie tokarze, — westchnął nasz zbrojmistrz.

— Międzynarodowy Krzyż, — chwalił się Wacek zapalczywie, — nie miałbyci tokarzy?! Masz pojęcie, co to na świecie za potęga?!

Uścisnęliśmy Wacka, teraz znów bardzo delikatnie, podtrzymując, podpierając, równoważąc, niby nadłamaną zabawkę. Twierdził, że przesadzamy. Nie może oczywiście warjować, ale swobodę ruchów przeciętnego człowieka — ma.

Na dowód, — między szpalerem wyczynionym z całego korpusu oficerskiego przeszedł ceremonjalnie do

stolu i, cmoknąwszy zaprasowanym spodniem, usiadł do stołajnie.

— Nawet sobie fatygi oszczędzisz, — głaskał go Kujon po głowie, — zamiast ustami cmokniesz przy stole nogą i masz, jak znalazł.

Wacek nie podtrzymywał już tych żartów, bezpo dzielnie oddany zupie. Łykał ją, czerpał, chłonał. W polowie talerza podniósł łyżkę do góry i z oczyma lez pełnemi solennie wykrzyknął: — Przez Finlandję na Szwecję i Szwajcarję nas odstawiali. Morze człowiek widział, góry, pałace! Szpitale, jak świątynie! Ale, panie pulkowniku, wiedział, że takiej zupy drugiej na całym świecie nie zjem!

Wzruszeni serdecznie, przepiliśmy raz jeszcze.

— Zupy takiej nie zjesz nigdzie i tak twardego mięsa nigdzie ci też nie dadzą!

Chcielibyśmy pomóc pokrajać mu to łyko, ale okazało się, że umiał sobie radzić. Jadł zręcznie, zmyślnie, szachrując kikutem tak przebiegle, że na pierwszy rzut oka trudno było poznać kalekę.

Nasz pocziwy idjota Kubik, nie mogąc się wydziwić tym sztukom, stanął z otwartą gębą przy krześle i wybaluszonemi oczyma patrzył, jak na popis cyrkowy.

Śmiałyśmy się serdecznie, Kubik bowiem mimowoli powtarzał manewry kikuta.

Dopiero przy czarnej kawie pulkownik uznał, że dość już tych igraszek i — że pragniemy wysłuchać *Odysei* naszego bohatera.

Wacek zaczął sumiennie od samego początku, kiedy padł ranny, — potem zaraz ziemia go przysypała. Jak go znaleźli, — oczywiście obrabowali. A potem byłby

umarł, gdyby nie jakaś siostra, Polka, w jakimś zakaznym szpitalu.

Długa, znana, zawsze ta sama historia.

Jak potem przyszło do wymiany jeńców. Jak mu się udało poszachrować z nazwiskiem, zdobyć papiery jakiegoś znacznego umrzyka za parę groszy. I potem jak jechał do kraju i co o nas mówią na świecie. Właściwie nic nie mówią. — I jak wszystko zastał tu po półtora roku. Tyle się wszędzie zmieniło. Wszędzie — wszystko. Tylko u nas, w pulku, — oczywiście ta sama „stara ikrą“!

Dowcip o ikrze był z przed dwóch lat, dziś całkiem już nieużywany.

— Tu, w pulku czuje człowiek odrazu serce! — Radość płynęła przez jego słowa, zagarniał żywą ręką powietrze, przyklepywał do martwej i na wezbranym oddechu jakby do nóg nam kładł.

— Tu, w pulku pracę człowiek czuje, do której nigdy dość ludzi i rąk!

— Czy nie tak może panie pulkowniku?

Owszem, tak, święte słowa, tem bardziej, że idą one z ust oficera, który, możnaby śmiało powiedzieć, wszystko, co tylko mógł i miał, złożył już na ołtarzu.

Wacek, cmoknąwszy sztywnym spodniem, wstał i oświadczył, że właściwie żadnych ofiar nie złożył, że jest gotów do wszystkiego i właśnie powrócił, — do warsztatu naszego, — do pracy!

Cisza wionęła wzdłuż stołu. Słychać było wyraźnie dźwięk strzemion przed balkonem pod lipą. Pulkownik zaczerwienił się i podniósł brwi do góry. W oczach zabłysło mu zdumienie.

Jedni poprawili się na krzesłach, drudzy nosy ku talerzom spuścili.

Nakoniec pułkownik chrząknął wytrawnie, stwierdził, że takiego ducha zawsze się po każdym oficerze swoim spodziewa i wypytywać jął Wacka — o rodzinę.

W rodzinie, — jak w rodzinie. Rodzice, — jak rodzice. Brat młodszy jeszcze nawet w szkołach.

Te nic nie znaczące wiadomości uspokoiły naszego dowódcę, tem bardziej, że — wszystko musi przyjść w swoim czasie. Pułkownik spojrzał na zegarek. W swoim czasie pomówi się o stosownej pracy i w swoim też, — trzeba wydać odprawę. Tak wzorowy oficer, jak Wacek, wie to chyba lepiej od każdego innego.

Odchodząc, pocałował inwalidę uroczyście w czoło.

Za pułkownikiem zniknęli adjutanci, szczury kancelaryjne i kilku nowych podporuczników, którzy Wacka dawniej nie znali i żadnych względem niego obowiązków nie mieli.

Każdy jednak żegnał go najserdeczniej i jeszcze od drzwi posyłał przyjacielskie pozdrowienia.

Zostaliśmy za stołem — sama wiara.

Kość z kości.

Jeden słowo zacznie — drugi dokończy.

Twarda głowa przy głowie, nos w nos i oczy w oczy. Gadano o pułku, potrzebach, niedostatkach. Myśmiano utyskiwali a Wacek nas „podciągał“, że za dobrze nam w pracy. Jeszcze nie znamy męki bezczynności. Teraz, gdy on do roboty z nami stanie, pokaże, co to znaczy głód pracy.

Cisza zapadała wśród tych planów długa i kłopotliwa...

Od łąk szedł syk wiosennego rozrostu, aż się w uszach przelewało, pod lipą, na murawie tupot koni grzmiał młoda, świeża ziemia.

Coraz skrzypnęły gwiżdżące drzwi wejściowe, ten i ów, ręce ukradkiem rozłożywszy, strzepnął palcami i nieznacznie odchodził.

Siedzieliśmy już tylko we czterech, Kujon, Leń, ja — i on. To znaczy — Wacek.

Nasz — kochany!

Wiedział odrazu, jeszcze w niewoli wiedział, że mu z nami będzie najlepiej. Ciemnem spojrzeniem omiół krzesła nieobecnych kolegów.

— Kocham wszystkich taksamo, ale z wami, koniami mojej dawnej kompanji! Toś ty ją po mnie objął, Leń?! Z waszemi dobrymi sercami! Bo rzecz wydaje się trudna, a jest tak prosta. — Z lewej kieszeni z pod odznak i orderów wydobyl naukowe książeczki, niemieckie i francuskie, na glansowanym papierze. — Tu zaraz zobaczycie!

Tu zobaczyliśmy z fotografij rozmaitych protez, znaczonych linją, łukiem i wieloma literkami a, b, gamma, delta, — tu dowiedzieliśmy się, że do „takiej“ ręki drugą się jeszcze przystawia i — piszesz sobie doskonale! Jeżeli zaś chodzi o nogę, — szczudelko podtykasz — i możesz sobie nawet konno jeździć, — całkiem swobodnie.

Gdy oto hałas rozpętał się pod lipą, klepanie, akşamitny skok konia przez murawę i głos pułkownika pełen karcącej szlachetności:

— Znów popręgów dobrze nie dociągnąłeś, durniu! Leń cicho wywołał mnie na balkon.

Pszczoly latały w dzikim winie, szosą, ku łąkom,  
w słońcu klusował pan pułkownik, adjutanci błyszczący  
po bokach, pod lipą stały jeszcze dwa osiodłane konie.

Z moim spóźniał się znowu ordynans.

— Proszę cię, — Leń wciągnął mnie we framugę, —  
sam rozumiesz...

— Że co?

— No, chyba sam rozumiesz?! — W zwężonych po-  
wiekach światło mu schło, na policzkach płonęły wy-  
pieki. — Twego wacha i tak jeszcze niema.

— Więc co?

— Więc i tak możesz jeszcze zostać.

— Za nic w świecie! Sam nie zostanę z Wackiem ani  
przez pół sekundy!

— I tak niema jeszcze twego konia, — nastawał Leń.

— Jeżeli odjedziecie, nie wracam do jadalni!

Czekałem we framudze. Jakże teraz odjadę?! Sa-  
mego go zostawię?...

Z pułkownika i adjutantów został tylko mały kłębek  
kurzu pod lasem, od rzeki dolatywał aż tu dźwięczny  
głos splawianych pni.

Pod lipę przyczłapał głupi Kubik, pogadał z ordy-  
nansami. Splunąwszy, wzięli konie za uzdy i powiedli  
je koło starych przybudówek, do szosy.

A tu na zakręcie, z za węgła wyskoczył Kujon z Le-  
niem — i pogнали.

Spojrzałem ku jadalni. Wacek siedział za stołem  
sam. Słońce mu padało na twarz. Żywą ręką do martwej  
zsypywał kulki chleba, wybierał, znów zsypywał. Na  
tłustem, spoconem czole drżały mu brwi wysoko.

Nakoniec wstał, noga dźwięcznie cmoknęła. Usiadł  
kilka krzeseł dalej, w cieniu.

Mijały długie chwile, budynek grążył się w ciszy.

Rysy inwalidy rozchyłał ciągle jeszcze uśmiech powi-  
tania.

Blady.

Ledwie brwi rozszerzył i kąty ust podźwignął — już  
znikał. Stopniowo cała twarz zamarła w tępej martwocie.

Z środkowych drzwi wyszedł Kubik, boso, bez bluzy,  
w podwiniętych portkach, z zakaszanymi rękawami.  
Przytąszczył z sobą kosze i zabrał się do sprzątania.

— Kubik!

Stanął na baczność.

Wacek kazał mu usiąść przy sobie.

Kubik nie śmiał.

Wacek ujął go pod brodę.

Kubik usiadł i prychnął głupim śmiechem na cały stół.

Poczęstowali się papierosami, Wacek z Kubikiem  
i zaczęli pogwarke.

Wacek raz jeszcze opowiadał całą swą Odyseję, przy-  
krawając ją do smaku słuchacza.

Teraz już, w prostej wersji, jedni nadmiernie znę-  
cali się nad rannym, drudzy litość okazywali niewyczer-  
paną. Olbrzymie przestrzenie wędrówki jeszcze bar-  
dziej rozciągnęły się, okręt stał się łupiną, morza stra-  
ciły dno, góry nieba samego tykały.

Kubik słuchał, prychał, przytakiwał — ale nakoniec  
wstał i zameldował służbowo, — względem sprzątania  
stołu.

— No to sobie zbieraj, bracie, żebyś wiedział, że  
ci nawet pomogę.

Nie słyszałem, co dalej, mówili, przyglupi bowiem sługa czynił piekielny hałas. Włókl się z miejsca na miejsce, strzelał ścierkami dokoła, za nim Wacek dygał z talerzem, czy też znowu kieliszkiem czy z pomietami serwetami. Potem jeszcze solniczki wszystkie. Pieprz. Musztarda.

Uprzątnęli.

Kubik klasnął bosemi piętami i już się miał ku wyjściu, gdy Wacek: — *A widziałeś ty, bracie, moją nową rękę.*

Zatrzymali się przy drzwiach.

Ordynans postawił kosze na podłodze. Razem badać zaczęli złożony mechanizm protezy.

— Odkręćmy.

— *A teraz przykręćmy.*

Nakoniec Kubik klasnął piętami i już na dobre odmaszerował.

Słuchać było jak człapie po schodach i wyje unudzonem ziewnięciem. Oddalało się coraz bardziej.

Jakieś drzwi trzasnęły parę razy i znów zaległa cisza.

Wacek stał w pośrodku pustej sali.

Miał zamknięte usta, suche, otwarte oczy. Piersi unosiły mu się pod orderami prędko i wysoko, z gardła pędził dźwięk donośny, gęsty, — jak głos drzewa, na rzece splawianego.

Niby, — jęk poranionych pni.

Teraz, wieczorem, siedzimy tu już u mnie na forcie, Kujon, Leń i ja, i mówię im, że gdyby wtedy słyszeli ten przedziwny jęk Wacka...

Siedzimy pod płócienną chmurą upiętego w rogu namiotu, przez otwarte okno tyle widać świata.

Drzewa rumienia się, na białych brzozech drżą ogniście czuby, wszystkie łąki mięciutkim żarem poczesał blask zachodu.

Brzeg Narwi ugina się i dudni od ciężaru. Długie masztowe pnie płyną z gładką wodą. Słuchać tu, — gdy padają na brzeg, gdy się toczą przez piach, gdy się zde-rzają w wodzie, — gdy poranionem ciałem gloszą dzieje swej drogi.

Wieczór stoi na pogodnem niebie, ptaki krążą w powietrzu tak cicho, tak ostrożnie, — ach doprawdy, — jakby to z losu naszego, z przeróżnych cierpień i radości uwił się i poderwał i nad całym światem rozesał ów strop wyniosły, przejrzysty, czerwienią zorzy rozjaśniony.

*Ks. Emilian Asendi*

02343

## TREŚĆ

|                                        | Str. |
|----------------------------------------|------|
| Tu jestem teraz i czekam . . . . .     | 5    |
| Na forcie . . . . .                    | 9    |
| Przyjazd . . . . .                     | 15   |
| Nikt nie chce mojej śmierci . . . . .  | 21   |
| Błądzenie nocne . . . . .              | 37   |
| Bogowie . . . . .                      | 43   |
| Na forcie — biała gwiazda . . . . .    | 66   |
| Bal . . . . .                          | 71   |
| Odwilż . . . . .                       | 107  |
| Dziki człowiek . . . . .               | 137  |
| Musztra . . . . .                      | 167  |
| Na forcie — już po wszystkim . . . . . | 175  |

---



